MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 45. WARSZAWA, 20 WRZEŚNIA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

EWOLUCJE GENEWSKIEJ POLITYKI GOSPODARCZEJ

W ZWIĄZKU z doroczną, dwunastą z rzędu, sesją Zgromadzenia Ligi Narodów — przedmiotem dyskusyj i rozważań staje się, jak zwykle, bilans rocznej pracy Ligi we wszystkich dziedzinach. Rzecz prosta, zagadnienia gospodarcze wysuwają się dziś w tych dyskusjach i rozważaniach na plan pierwszy.

Wobec powyższego warto może przedstawić, dla lepszego zorjentowania w możliwościach międzynarodowej współpracy gospodarczej, ewolucje ekonomicznej polityki genewskiej w ciągu ostatnich paru lat; takie „historyczne ujęcie" sprawy daje, wobec wielkiego skomplikowania gospodarki światowej i ogromnych trudności przewidywania przyszłego rozwoju stosunków, ułamkowe może, ale bądź co bądź objektywne kryterja oceny tego, jakie będą kierunki i przypuszczalne wyniki międzynarodowego współdziałania w dziedzinie gospodarczej w najbliższej przyszłości.

Zgodnie z powszechnie przyjętą metodą, jako punkt wyjścia dla oceny polityki ekonomicznej Ligi Narodów w ostatnich czasach, weźmiemy wielką międzynarodową konferencję gospodarczą w Genewie z maja 1927 roku. Konferencja ta, w której wzięli udział najwybitniejsi ekonomiści i reprezentanci życia gospodarczego świata, ogłosiła, jak wiadomo, *sui generis* „święty kodeks" polityki ekonomicznej, przedewszystkiem zaś handlowej, w duchu skrajnego liberalizmu. Podstawą było tu powszechne niemal wówczas przekonanie, że główną przyczyną depresji gospodarczej są trudności w obrocie międzynarodowym.

W rezolucjach swoich konferencja wskazała więc przedewszystkiem na konieczność zniesienia, względnie obniżenia barjer celnych. Powrót do liberalnej polityki handlowej miał się dokonać, zdaniem uczestników konferencji, przez odpowiednie nastawienie autonomicznej polityki poszczególnych państw, przez umowy dwustronne, wreszcie drogą zawierania umów wielostronnych pod auspicjami Ligi Narodów.

Bezpośrednio po owej konferencji nastał okres, w którym zdawało się, że polityka państw pójdzie po linji zaleceń ustalonych w maju 1927 r. Taryf celnych naogół nie podwyższano, przeciwnie — podpisano szereg traktatów handlowych, zawierających zniżki konwencyjne i ustalenie stawek celnych. Jeśli zaś chodzi o umowy wielostronne — w listopadzie 1927 r. podpisana została w Genewie międzynarodowa konwencja o zniesieniu zakazów i ograniczeń przywozu i wywozu. Słowem było to coś jakby inauguracja kursu wolno - handlowego.

Prąd ten jednakże nie okazał się trwały. Już w roku 1928 dały się zauważyć tendencje protekcjonistyczne, które w 1929 r. znacznie się wzmocniły, zwłaszcza w zakresie ceł przywozowych na produkty rolne. Rokowania na terenie Ligi Narodów o zbiorową obniżkę ceł na poszczególne artykuły (cukier, cement) nie doprowadziły do żadnego wyniku. Także wprowadzenie w życie wspomnianej już konwencji o zniesieniu zakazów i ograniczeń przywozu i wywozu stanęło pod znakiem zapytania. W rezultacie położenie jesienią 1929 r. przedstawiało się gorzej, niż dwa lata przedtem.

W tym stanie rzeczy, wobec postępującej depresji gospodarczej, 10-te Zgromadzenie Ligi Narodów rzuciło nowy *„cri d'alarme"*, wysuwając jako środek zaradczy słynną koncepcję „rozejmu celnego". „Rozejm celny", jak sama nazwa wskazuje, miał być okresem przejściowym między stanem „wojny" t. j. stanem wzrastającego ciągle protekcjonizmu i utrudnień w handlu międzynarodowym,

a stanem „pokoju", pojętym jako okres wolnohandlowej polityki przyszłości, i polegać miał na stabilizacji taryf celnych na czas dwuch — trzech lat, w ciągu których toczyć się miały pod egidą Ligi Narodów rokowania o powszechną i równoczesną obniżkę ceł.

W związku z powyższem, 24 lutego 1930 r., rozpoczęła się w Genewie wstępna konferencja „w sprawie zespolonej akcji gospodarczej" (*Conférence préliminaire en vue d'une action économique concertée*). Zaproszone zostały na nią wszystkie państwa świata, jednakże wzięły w niej udział w charakterze rzeczywistych uczestników niemal wyłącznie kraje europejskie.

Konferencja rozpoczęła się wśród okoliczności bardzo niepomyślnych. Kolosalny krach giełdowy na Wall Street, zatrważające pogłębianie się ogólnego kryzysu, dalsze podwyżki ceł, zapowiedź nowej prohibicyjnej taryfy amerykańskiej, upadek konwencji o zniesieniu zakazów i ograniczeń przywozu i wywozu — oto garść faktów, które poprzedziły zwołanie konferencji, nie przyczyniając się oczywiście do wytworzenia dobrej „atmosfery".

To też projekt rozejmu celnego, opracowany na konferencję przez Komitet Ekonomiczny Ligi Narodów odrazu upadł. Po długich i mozolnych debatach zgodzono się wreszcie na surogat pierwotnej koncepcji i podpisano t. zw. Konwencję Handlową, w myśl której kontrahenci zobowiązali się niewypowiadać do dn. 1 kwietnia 1931 r. swoich traktatów handlowych oraz nie podwyższać ceł autonomicznych bez zachowania określonej, niezbyt zresztą krępującej, procedury. Oto wszystko.

Konwencja podpisana została przez 18 państw w dn. 24 marca 1930 r. Tegoż dnia podpisany został również t. zw. „Protokół w sprawie programu dalszych rokowań". Dotyczył on zbiorowych rokowań, dla których konwencja miała być wstępem. Protokół zawierał między innemi specjalny kwestjonarjusz, na który poszczególne rządy miały możliwie szybko odpowiedzieć, wypowiadając się co do środków, zdolnych ułatwić zbyt artykułów przemysłowych i rolnych. Jako rzecz charakterystyczna występuje tu zmiana dotychczasowego jednostronnego nastawienia polityki genewskiej przez większe niż poprzednio uwzględnienie postulatów krajów rolniczych.

Wracając do konwencji — dokumenty jej ratyfikacji miały być złożone do dn. 1 listopada 1930 r., poczem dopiero miała ona wejść w życie. W tym czasie miało obowiązywać coś w rodzaju „*gentleman agreement*". Okazało się wszakże, że fakt podpisania konwencji w niczem nie złagodził nastrojów protekcjonistycznych. Ogromna fala podwyżek celnych przepłynęła przez wszystkie państwa Europy z Niemcami na czele, co dotyczyło przedewszystkiem produktów rolnych. Narastały równocześnie całe skomplikowane systemy protekcjonizmu administracyjnego.

Fala protekcjonizmu objęła również i kraje zamorskie. Rewizji taryf dokonały: Kanada, Australja, Nowa Zelandja, Indje. Najsilniejszem wszakże uderzeniem w swobodną wymianę międzynarodową było wprowadzenie przez Stany Zjednoczone nowej taryfy t. zw. „*Hawley-Smoot Tariff*" o cechach wręcz prohibicyjnych. Jeśli się zważy fakt, że udział Stanów Zjednoczonych określa się cyfrą 15% światowego eksportu i 12% importu, oraz fakt, że Stany są wierzycielami w stosunku do różnych państw na sumę przeszło 20 miljardów dolarów — łatwo ocenić ujemne oddziałanie takiego posunięcia na gospodarkę innych państw, zwłaszcza dłużniczych. Wywołało ono pozatem nową serję podwyżek o charakterze retorsji.

Jeśli chodzi z kolei o umowy dwustronne — zawarte w owym okresie traktaty, przeważnie nietaryfowe i prowizoryczne, w bardzo słabym stopniu złagodziły opisane powyżej „orgje" ochrony celnej.

Co jest rzeczą ciekawą — to powstanie w tym czasie ściślejszego porozumienia wśród rolniczych państw Europy. Idea sama narodziła się wśród państw naddunajskich, konkretne formy przybrała jednakże dopiero na głównej konferencji rolniczej w Warszawie z sierpnia ub. r. Blok państw agrarnych ustalił zasadnicze linje wspólnej akcji na terenie międzynarodowym, określił konkretne cele, wysuwając jako naczelny postulat hasło preferencji czyli uprzywilejowania celnego dla zboża europejskiego pochodzenia, która to sprawa stała się ostatnio centralnym tematem kilku narad międzynarodowych.

W obliczu ogólnej katastrofy gospodarczej, jaka dotknęła tak świat przemysłu jak i rolnictwa — uchwały 11-go Zgromadzenia Ligi Narodów (wrzesień 1930) cechuje charakterystyczna „skromność", zwłaszcza w porównaniu z rezolucjami z 1929 r. Zgromadzenie 11-te ograniczyło się do wezwania do ratyfikacji konwencji handlowej z 24-go marca oraz zaleciło, aby przewidziana na listopad 1930 r. druga konferencja „w sprawie zespolonej akcji gospodarczej" zajęła się także sprawą „dalszych rokowań". Pozatem Zgromadzenie rozpatrywało sformułowany na konferencji rolniczej w Warszawie postulat krajów rolniczych preferencji dla zboża europejskiego.

Odbyta w listopadzie ub. r. druga konferencja „w sprawie zespolonej akcji gospodarczej" miała dwa zadania: wprowadzenie w życie konwencji handlowej, następnie wspomniane powyżej „dalsze rokowania". Żadna z tych spraw jednakże nie została pomyślnie załatwiona.

Jeśli chodzi o konwencję — w momencie otwarcia konferencji była ona ratyfikowana tylko przez 10 państw na 18 sygnatarjuszy. Brakowało w tem Niemiec i Francji. W tych warunkach sprawa została odroczona, przyczem wyznaczono nowy dodatkowy termin składania ratyfikacyj do 25 stycznia 1931 r. Co się zaś tyczy zbiorowych rokowań celnych (przygotowane były w tym względzie dwie konkretne propozycje: angielska i holenderska) — konferencja uznała, że chwila nie jest odpowiednia dla prowadzenia rozmów wielostronnych i że rokowania prowadzone być winny między bezpośrednio zainteresowanymi w płaszczyźnie układów dwustronnych.

Konferencja zajmowała się również kwestją preferencyj dla zboża europejskiego, ustalając w tej mierze szereg daleko idących zastrzeżeń na korzyść klauzuli największego uprzywilejowania i praw państw trzecich. W konkluzji stwierdzić można, że konferencja żadnych pozytywnych wyników nie dała.

Jeszcze gorzej było z następną konferencją, stanowiącą ciąg dalszy listopadowych debat. Odbyła się ona w Genewie w dn. 16 — 18 marca b. r. i zakończyła całkowitem fiaskiem konwencji handlowej z 24-go marca. Państwa, które konwencję

już ratyfikowały, a więc państwa północno-europejskie z Wielką Brytanją na czele — wypowiedziały się teraz przeciw niej. Ostatecznie w wyniku dyskusyj podpisano protokół, w którym kontrahenci stwierdzają, że nie mogli osiągnąć zgody co do określenia terminu wejścia w życie konwencji. Ponieważ jednak zawarta ona została na rok — do 1 kwietnia 1931 — jest przeto rzeczą jasną, że przestała istnieć pod względem prawnym. Poprostu „zgasła“, że użyjemy tu tego niewłaściwego porównania.

Niezależnie od tego, pomimo że konferencja stwierdziła, iż między konwencją handlową a t. zw. „Protokółem w sprawie programu dalszych rokowań“ niema istotnego związku prawnego, tem nie mniej program ten automatycznie niejako stracił dotychczasowe swoje znaczenie.

Upadek konwencji handlowej, której idea wywodzi się bezpośrednio ze słynnych uchwał Zgromadzenia Ligi Narodów z 1929 r., a pośrednio z wolnohandlowych rezolucyj międzynarodowej konferencji ekonomicznej z 1927 r. — spowodował załamanie się dotychczas obowiązującej podstawy genewskiej polityki gospodarczej, ugruntowanej z kolei na przekonaniu, że główną przyczyną ekonomicznej depresji są przeszkody w systemie wymiany, konkretnie biorąc: wygórowane cła i związany z niemi skomplikowany system reglamentacji i protekcjonizmu administracyjnego. W ten sposób polityka gospodarcza, prowadzona przez Ligę Narodów stanęła wobec pustki programowej, do reszty skompromitowana. Zaznaczamy, iż w okresie od listopada 1930 r. do marca 1931 r. protekcjonizm wzrastał w świecie w dalszym ciągu, równolegle niemal z kryzysem.

W okresie wszakże, kiedy szeroka akcja gospodarcza Ligi chyliła się wyraźnie ku upadkowi — formowała się tymczasem nowa podstawa polityki ekonomicznej międzynarodowej, podstawa węższa wprawdzie formalnie (nie faktycznie), bo ściśle europejska, ale bądź co bądź oparta o smętne doświadczenie, wynikające z daremnych wysiłków Ligi i mająca u podstaw nową myśl, mianowicie tę, że wzrastające przeszkody w wymianie międzynarodowej są skutkiem a nie przyczyną kryzysu gospodarczego. Stąd konieczność innych metod i innych środków. Myślimy o polityce Komisji Studjów Unji Europejskiej, utworzonej w Genewie we wrześniu 1930 r. z inicjatywy Brianda.

Na tle bankructwa konwencji handlowej genewskiej oraz w związku z akcją przeciw *Anschluss*'owi — specjalnego znaczenia nabierają postanowienia trzeciej sesji tej Komisji Studjów (15 — 23 maja b. r. w Genewie). Rezolucje jej oparte zasadniczo o t. zw. plan konstrukcyjny francuski stworzyć miały nową postawę, nowy punkt wyjścia dla dalszych poczynań gospodarczych Ligi Narodów, coprawda mniej uniwersalnych, bo europejskich tylko (za to z udziałem Rosji Sowieckiej).

Uchwały majowej sesji Komisji Studjów Unji Europejskiej dotyczą głównie czterech spraw: 1) preferencji celnej dla zboża europejskiego; 2) międzynarodowych porozumień przemysłowych; 3) kredytu; 4) sprawy austrjackiej. Pozatem szeregu zagadnień mniejszej wagi. Najważniejsze oczywiście są dwie pierwsze kwestje, przyczem z kolei punkt ciężkości stanowią porozumienia przemysłowe w Europie czyli innemi słowy program kartelizacji w skali europejskiej, kartelizacji, pojętej jako środek przywrócenia równowagi między konsumcją i produkcją z całym jej wpływem w dalszej przyszłości na poziom taryf celnych.

W związku z powyższem odbyły się w Genewie w końcu czerwca b. r. sesje dwuch komisyj technicznych, a mianowicie Komitetu Zbożowego 15-tu, który obradował głównie nad zagadnieniem praktycznego zastosowania preferencyj zbożowych i ustalił w tej dziedzinie szereg rzeczy, oraz Komitetu 10-ciu dla zagadnienia produkcji i wymiany — kartelowego — który wszakże, z uwagi na brak wówczas decyzji Trybunału haskiego w sprawie *Anschluss*'u oraz z uwagi na nierozstrzygnięte wówczas rozmowy nad propozycją Hoovera, odroczył swoje obrady, obecnie nanowo podjęte.

Szczupłe ramy artykułu nie pozwalają, rzecz prosta, omówić gospodarczego *meritum* tego „przewekslowania“ genewskiej polityki gospodarczej w ostatnich miesiącach, jakie staraliśmy się wykazać; dlatego też ograniczyliśmy się do uwag dotyczących raczej strony formalno - proceduralnej. W pewnym stopniu i to jednakże powinno zorjentować.

Co jest rzeczą charakterystyczną dla chwili bieżącej — to widoczna bezsilność dzisiejszych kierowników światowej polityki wobec kryzysu gospodarczego, będącego, jak wiadomo, nietylko kryzysem konjunkturalnym, ale i strukturalnym. Ludzie skostniali w rutynie starych doktryn i przebrzmiałych haseł nie są zdolni zrozumieć nowych czasów i nowych zagadnień.

ANDRZEJ DROHOMIRECKI

Z DZIEJÓW UNIFIKACJI

PO ZAMKNIĘCIU przez władze rosyjskie w roku 1861 Towarzystwa Rolniczego, utworzonego z inicjatywy i pod światłem przewodnictwem Andrzeja Zamoyskiego i po dłuższym okresie zamarcia życia społeczno-rolniczego po upadku powstania 1863 r., dopiero w r. 1887 bierze początek praca społeczno-rolnicza w Sekcji rolnej przy „Warszawskim Oddziale Tow. Popierania Rosyjskiego Przemysłu i Handlu“, która w r. 1907 z inicjatywy Stanisława Chełchowskiego przekształciła się w „Centralne Towarzystwo Rolnicze“.

Programem swojej działalności Cent. T-wo Roln. obejmowało zarówno większe jak i mniejsze własności rolne, zrzeszając około 80 tys. członków: ziemian, inteligencji wiejskiej i drobnych rolników w 80 okręgowych Tow. Rolniczych i przeszło 1.500 Kółkach Rolniczych na terenie b. Kongresówki i Kresów Wschodnich.

W r. 1927, obchodząc 20-letni jubileusz swego istnienia, Centralne T-wo Rolnicze spotkało się z dużem uznaniem, zarówno czynników rządowych jak i całego społeczeństwa, w ocenie jego działalności, przyczyniającej się do podniesienia kultury wsi polskiej i wydajności warsztatów rolnych.

W listopadzie jednak tego roku Ministerstwo Rolnictwa postawiło władzom Centr. Tow. Roln.

ultimatum z żądaniem ustąpienia narodowych demokratów z Prezydjum CTR. W razie nieuwzględnienia tego żądania zagrożono cofnięciem subwencyj. Niebywałe wystąpienie Ministerjum Rolnictwa, godzące w samodzielność organizacji społecznej, w pierwszej chwili wśród sfer rolniczych wywołało oburzenie. Na specjalnie zwołanym Zjeździe Prezesów Okręgowych Towarzystw Rolniczych ówczesny prezes CTR p. K. Fudakowski w przemówieniu swojem oświadczył, że kompromisowość musi mieć pewne granice i że nie można pod presją czynników zewnętrznych cofać się bez końca, by nie zabrnąć w bagno, podobnie jak brnęło społeczeństwo rosyjskie. Żądanie Ministerstwa Rolnictwa uznano za nie do przyjęcia i postanowiono raczej zrzec się subwencyj, niż zatracić samodzielność, przysługującą organizacji społecznej. Komitet CTR potwierdził uchwałę Zjazdu Prezesów Okręgowych Towarzystw Rolniczych i wydał odezwę, protestującą przeciwko ingerencji tak daleko idącej ze strony rządu.

W grudniu jednak, w niespełna 2 tygodnie po tem, na zebraniu Rady Głównej CTR grupa „sanatorów” ziemian zagroziła rozłamem i nietylko cofnięciem subwencyj CTR, lecz i cofnięciem kredytów organizacjom gospodarczym, z któremi CTR współpracowało.

Dla „błogiego spokoju i upragnionej jedności“ narodowi demokraci ustąpili z prezydjum CTR, a na ich miejsce pomiędzy innymi wprowadzono i przedstawiciela tej grupy „sanatorów”, którzy na zebraniu Rady Głównej CTR grozili rozłamem w razie nieuwzględnia żądań Ministerstwa Rolnictwa.

Zdawałoby się, że tak daleko idące ustępstwo ze strony władz CTR zadowoli opozycję sanacyjną i stopniowo wytworzą się normalne wewnętrzne stosunki, tak niezbędne dla pozytywnej pracy. Niestety, wkrótce się sprawdziło, że wszelkie ustępstwa są dowodem tylko słabości i rozzuchwalają przeciwników, jakiemi się okazali „sanatorzy” w CTR, którym ni chodziło ani o dobro organizacji, ani o jej działalność, lecz wyłącznie o względy polityczne.

W myśl słynnego rozkazu pułkownika Sławka weszli do organizacji, mając na celu li tylko jej opanowanie pod względem politycznem.

Na wiosnę roku następnego t. j. 1928 rzucono hasło „unifikacji“ organizacyj rolniczych — połączenia w jedną organizację istniejących na terenie b. Kongresówki i Kresów Wschodnich: Centralnego Towarzystwa Rolniczego, Centralnego Związku Kółek Rolniczych i Związku Osadników Wojskowych. Plan polityczny „sanacji” był aż nadto przejrzysty: chodziło o połączenie dwóch organizacyj, całkowicie opanowanych przez „sanację”: t. j. Centralnego Związku Kółek Rolniczych i Związku Osadników Wojsk. z Centralnem Tow. Rolniczem, by w nowoutworzonej jednej organizacji mieć większość, przy której pomocy możnaby było usunąć żywioły bardziej samodzielne i apolityczne, a mające na terenie wiejskim, przez długoletnią swoją pracę społeczną, duże wpływy i autorytet.

Część członków CTR, widząc to niebezpieczeństwo, zgrupowała się pod przewodnictwem ś. p. Stanisława Grabińskiego z Walewic, stanowczo się przeciwstawiając tego rodzaju planom unifikacyjnym. Na zebraniu Rady Głównej CTR dnia 6 kwietnia 1929 r., ś. p. Stanisław Grabiński, jako jeneralny mówca tej grupy, w dłuższem przemówieniu uzasadnił stanowisko tych członków CTR, którzy w planach unifikacyjnych widzieli jawną grę polityczną, grożącą zaprzepaszczeniem idei i zasad CTR i mającą na celu rozbicie Centralnego T-wa Rolniczego.

Jednocześnie przytaczając szereg przykładów nielojalności w stosunku do CTR i pokrewnych jemu Towarzystw ze strony czynników i organizacyj, z któremi CTR miało się połączyć — wskazał na teren pomorski, gdzie te same czynniki, które na terenie b. Kongresówki i Kresów Wschodnich chciały wytworzyć jedną organizację rolniczą, na terenie Pomorza utworzyły obok Pomorskiego T-wa Rolniczego drugą organizację Kółek Rolniczych, chcąc za jej pośrednictwem rozbić Pomorskie T-wo Rolnicze, odpowiadające w swojej ideologji Centr. T-wu Rolniczemu. Wspomniał również dalej o przemówieniu p. Niedzielskiego — późniejszego dyrektora zunifikowanej organizacji, który na zjeździe Centralnego Związku Kółek Rolniczych dn. 20.III., a więc przed posiedzeniem Rady Głównej, użył mniej więcej tego rodzaju zwrotu: „zarzucacie nam, t. zn. zwolennikom unifikacji, że my grzebiemy chłopskie interesy, a ja twierdzę, że chłopskich bronimy interesów, gdyż na gruzach CTR jesteśmy w trakcie tworzenia jednej wielkiej organizacji. Żeby was silniej przekonać powiem, że unifikując się na terenie b. Kongresówki, rozbijamy jednocześnie Pomorskie Tow. Rolnicze“.

Bardziej jaskrawych argumentów, niż te, które w swojem przemówieniu wysunął ś. p. Stanisław Grabiński przeciwko unifikacji trudno było znaleźć, a jednakże niestety ówczesne władze CTR nie widziały niebezpieczeństwa, jakie groziło społeczno-rolniczej organizacji, jaką było CTR, w razie zgody na unifikację i z dobrą wiarą przyjęły rzucone przez „sanację“ hasło jedności rolniczej i konieczności wytworzenia jednolitego frontu rolniczego.

Jakby zasuggestjonowani hasłem „jednolitego frontu rolniczego“, wpatrzeni w wizję cudownego raju, jaki zapanuje w stosunkach rolniczych z chwilą utworzenia wspólnej organizacji, bezustannie ustępowali pod presją czynników rządowych wobec wysuwanych żądań ze strony organizacyj lewicowo-sanacyjnych. Przy opracowywaniu wspólnego statutu ograniczono udział fachowego czynnika społecznego kosztem rozszerzenia uprawnień Kółek Rolniczych, nadano szersze kompetencje czynnikom wykonawczym w organizacji i uzależniono ją bardziej od miejscowej administracji w okręgach.

W stosunku do organizacyj gospodarczych uwzględniono współudział li tylko instytucyj spółdzielczych, pomijają na innych zasadach oparte instytucje o charakterze społeczno-gospodarczym. Ustępstwa programowe nie poszły jednak tak daleko, jak ustępstwa przy ustalaniu personalnego składu tymczasowych władz przyszłej organizacji. Tu „sanacja“ bezustannym terrorem i groźbą zerwania pertraktacyj unifikacyjnych wymogła, by niezależnie od reprezentowanego majątku poszczególnych organizacyj, ich stanu posiadania i dorobku pracy, obie strony według parytetu miały jednakową ilość głosów. Stanowisko prezesa pozostawiono w rękach Prezesa CTR. Wszystkie zastrzeżenia, które przemawiały przeciwko przeprowadzeniu w tej formie unifikacji wymienił w swojem przemówieniu ś. p. Stanisław Grabiński i pozyskał-

by większość Rady Głównej CTR, gdyby nie stanowisko prezydjum CTR., które, przyznając słuszność wysuniętym przez niego zastrzeżeniom, oświadczyło jednak, że dobro rolnictwa wymaga zgody na unifikację w tej formie. Wobec takiego stanowiska prezydjum CTR, większością głosów Rada Główna CTR w dniu 5 kwietnia 1929 r. uchwaliła przystąpienie CTR do unifikacji. Szczęśliwie zastrzeżono, że majątkiem CTR, który powstał z zapisów i fundacyj, będzie rozporządzała zgodnie z wolą zapisodawców specjalnie wyłoniona Komisja Likwidacyjna CTR. Od tej chwili CTR przestało istnieć, a tem samem na terenie b. Kongresówki i Kresów Wschodnich rolnictwo zostało pozbawione niezależnej organizacji społeczno-gospodarczej, któraby mogła odzwierciadlać istotny układ sił społecznych w rolnictwie i jego potrzeby oraz skutecznie bronić interesów zrzeszonych.

Nowootworzona instytucja stała się jakimś dziwolągiem organizacyjnym, mającym li tylko pozory organizacji społecznej, a będącym faktycznie organem rządowym dla przeszczepiania wpływów sanacyjnych na terenie wiejskim. W prezydjum Centralnego Towarzystwa Organizacyj i Kółek Rolniczych, gdyż taką nazwę otrzymała nowa organizacja, rozpoczęły się intrygi i spory, głównie w sprawach personalnych. „Sanacja", której obcą była pozytywna praca społeczna w rolnictwie, wciąż ujawniała tylko dążenia do obsadzania stanowisk swoimi ludźmi. Na tem tle powstawały przewlekłe spory, konferencje, uciążliwe rokowania, które kończyły się, niestety, najczęściej ustępstwem ze strony przedstawicieli dawnego CTR. Jednocześnie, uzyskawszy większe subwencje rządowe, rozpoczęła się osławiona „radosna twórczość" na szeroką skalę: wysokie uposażenia dla urzędujących członków prezydjum, dodatkowy etat naczelnego dyrektora, a później dwóch dyrektorów, samochody, bezustanne rozjazdy, z dużym nakładem pracy i pieniędzy uroczyste dożynki w Spale, i stałe powiększanie budżetu przez wprowadzanie nowych etatów dla nowo przyjmowanych „sanatorów". Każde stanowisko na prowincji, czy to prezesa, czy dyrektora lub instruktora było rozpatrywane pod kątem widzenia li tylko politycznym, nie biorąc pod uwagę innych walorów, tak niezbędnych dla pracy społecznej, tembardziej fachowej. Doprowadzono do takiego absurdu, że na stanowisko prezesa warszawskiego wojewódzkiego T-wa Rolniczego powołano „sanatora", dyrektora jednego z oddziałów Państwowego Banku Rolnego w innem województwie, nie dopuszczając na to stanowisko wysuwanych kandydatów z pośród ziemian wojew. warszawskiego. Również stanowiska dyrektorów wojewódzkich Towarzystw Rolniczych obsadzano ludźmi bez wykształcenia rolniczego. Stanowiska takie w CTR były obsadzane przez ludzi z wyższem wykształceniem rolniczem.

Ograniczam się tylko do tych dwóch przykładów, przypuszczając, że inni, którzy bliżej przyglądali się tej bezprogramowej i destrukcyjnej działalności sanacyjnej na terenie rolniczym, zabiorą głos dla uświadomienia ogółu rolniczego o wytworzonych przez „sanację" stosunkach w Centralnem Towarzystwie Organizacyj i Kółek Rolniczych, celem ich uzdrowienia przez radykalne usunięcie z terenu społeczno-rolniczego tych elementów, które nic wspólnego nie miały i nie mają z działalnością okręgowych towarzystw i Kółek rolniczych. Wewnętrzne tarcia w prezydjum wkrótce doprowadziły do ustąpienia prezesa Fudakowskiego, i objęcia prezesury przez posła z B.B. p. Jana Rudowskiego.

W okresie jego urzędowania wpływy lewicowo-sanacyjne jeszcze bardziej się wzmogły w instytucji i doprowadziły do zawarcia umowy ze Związkiem Młodzieży Wiejskiej, prowadzonym przez wyraźnie lewicowe żywioły i ze Zjednoczeniem Spółdzielni Rolniczych, będącem wykładnikiem prądów lewicowych w spółdzielczości rolniczej, celem wzajemnego współdziałania. P. Rudowski wykazał także wielką zdolność w przeprowadzaniu wyborów do władz instytucji. Przy pomocy wójtów gminnych, starostów i wojewodów w roku ubiegłym tak przeprowadzono wybory w województwach, że na walnym zjeździe w Warszawie uzyskały większość żywioły radykalno-sanacyjne, które mają dziś decydujący wpływ w instytucji.

Obecnie Centralne Towarzystwo Organizacyj i Kółek Rolniczych zatraciło już ostatecznie charakter społecznej instytucji: udzielenie przez prezydjum dymisji przewodniczącej Kół Gospodyń Wiejskich, tak zasłużonej, ofiarnej i długoletniej działaczce społecznej, jak p. Aniela Zdanowska za wygłoszenie przez nią przemówienia na Zjeździe doradczyń Kół Gospodyń Wiejskich, jest tego wyraźnym dowodem.

Organizacja wkroczyła na tory ściśle polityczne i nie może wobec tego spełniać tych zadań pracy społecznej, do których została powołana.

Rolnicy faktycznie zostali pozbawieni niezależnej organizacji społecznej, któraby skutecznie broniła ich interesów zawodowych i to w dobie najcięższych ich zmagań z trudnościami ekonomicznemi.

Ofiarność społeczna zanikła, subwencyj zabrakło, wobec przeżywanego ogólnego kryzysu i z konieczności polityki oszczędnościowej rządu. I skutki polityki rządu w stosunku do organizacyj rolniczych, tak zgubnej dla rolnictwa, stały się dziś widoczne nie tylko dla przeciwników od początku unifikacji, lecz i dla dawniejszych jej zwolenników nawet wśród wyższych sfer sanacyjnych. Znamienną mamy opinję w tej sprawie b. ministra reform rolnych prof. W. Staniewicza, który w artykule, ogłoszonym w „Tygodniku Rolniczym", krytykują, organizacje rolnicze, które opierają swoją egzystencję wyłącznie na subwencjach rządowych, stwierdza, iż zatracono w organizacjach rolniczych „wyczucie istotnych potrzeb rolnika, jako podmiotu gospodarującego, traktując go, jako przedmiot polityki gospodarstwa państwa".

A czyż mogłoby być inaczej wobec tak daleko idącej ingerencji rządu w stosunki wewnętrzne społecznych organizacyj rolniczych, pozbawiającej rolnika możności samodzielnego działania w jego własnej organizacji.

Centralne Towarzystwo Organizacyj i Kółek Rolniczych nie jest i nie będzie mogło się stać wykładnikiem sił i opinji społecznej w rolnictwie, dopóki utrzymywane subwencjami rządowemi na powierzchni życia społeczno-rolniczego czynniki sanacyjno-lewicowe będą nadawały instytucjom społeczno-rolniczym charakter organizacji politycznej.

MIECZYSŁAW PIOTROWSKI

AKADEMJA WSZELKICH SCIENCYJ PEŁNA

(KRAKÓW PRZED TRZYDZIESTU LATY)

A TERAZ przystąpić mi należy[1]) — w miarę możności — do scharakteryzowania głównych w tych salonach działających osób. Najliczniejszego kontyngentu dostarczał oczywiście uniwersytet. Zacznę od mojego ojca.

Ojciec mój, dochodzący około roku 1900 do pełnego naukowego rozwoju, kształcony był na uniwersytecie berlińskim, w szkole Mommsena. Oglądawszy naocznie w roku 1870 zupełny trjumf Niemiec, umocnił był w sobie tym widokiem wrodzone Poznańczykowi uczucia antyniemieckie, w których mnie również później wychował. Przejęty natomiast i wżywszy się pilnie w niemieckie metody naukowe, charakteryzujący go szerszy horyzont zawdzięczał niewątpliwie wychowaniu domowemu. W występach retorycznych — wtedy właśnie (w r. 1890, jeżeli się nie mylę) zainicjował je był pierwszą swoją mową publiczną nad grobem biskupa wileńskiego Krasińskiego — przejmował coraz żywiej swoich słuchaczy, którzy wzruszać się dawali utożsamieniem się mówcy z przedmiotem jego dyskursu. Stylista przedni i operujący tutaj prostotą zwłaszcza techniki, podsłuchaną u mistrzów starożytnych, w wierszu, nieraz satyrycznym, konkurował o laury porówno z moim stryjem Zdzisławem.

Ten ostatni — żeby wyczerpać czynniki intelektualne rodziny — miał umysł bardziej od mojego ojca anegdotyczny, dowcip o charakterze bardziej sceptycznym, a cały temperament zgoła — w przeciwieństwie do brata starszego — nie wybuchowy. Osobistość jego polityczna zarysowała się w Wiedniu w momencie wielkiej wojny, na stanowisku jednego z ostatnich ministrów dla Galicji, pozatem realizował się on przedewszystkiem w zakresie walorów kulturalnych, a w okresie, który nas tutaj obchodzi, był zaledwie jednym z *princes charmants* towarzystwa krakowskiego. Egerją jego, Egerją mojego ojca, a w sumie i całej rodziny, była ciotka moja Konstancja[2]), typowy specymen kobiety - literatki, jakich tak sporo wydała Polska przed- i porozbiorowa, wysoce wykształcona, obdarzona znakomitą pamięcią, a przytem biorąca wszystko egzaltowanem sercem patrjotki. Kultura, jaką sobie zdobyła, sięgała filjacją, poza starymi Morawskimi[3]), środowiska katolickiego poznańskich Koźmianów, a to tłumacza Szekspira Stanisława (starszego) i księdza Jana, wychowawcy mojego ojca. W literackim poczcie rodowym dalsze miejsce zajmował ksiądz Marjan, Jezuita, natchniony autor pełnych polotu „Wieczorów na Lemanem“ i „Świętych obcowania“. Łagodny i uduchowiony, wywierał ksiądz Marjan znaczny wpływ na szerokie sfery, zwłaszcza młodzieży, a dopiero na wspaniałym jego pogrzebie zakonnym w roku 1901 policzyły się nieprzebrane zastępy jego wielbicieli. W życiu codziennem niedościgniony dystrakt (zresztą ciężko nerwowo chory), zadziwiał nas młodych i maluczkich niezwykłem rozrzuceniem swojej fizycznej powłoki.

Teologiem w owym czasie był jeszcze i ksiądz Pawlicki. Należał formalnie do wydziału teologicznego, chociaż studja filozoficzne i historyczno-kulturalne dawno wzięły były w nim górę nad czysto teologicznemi. Przy epoce nauk moich uniwersyteckich będę miał sposobność powrócić do tej tak oryginalnej postaci, tutaj zaznaczyć wystarczy, że stanowił on wtedy, i w wyższym stopniu, niż w późniejszych czasach, kiedy chorobliwa ociężałość krępowała nieco wzloty jego intelektu, upragniony w każdym salonie typ oświeconego *abbé*, znającego na palcach i katakumby rzymskie i modny wówczas dyletantyzm Renana i — z wcześniejszych swoich studjów — filozofję miłości Schopenhauera i międzynarodowe towarzystwo rzymskie i kwestję żydowską i niezliczoną ilość innych esencyj i arkanów współczesnego oraz starożytnego świata. Zamiłowany w kuchni, chociaż bynajmniej na niej się nie znający, pełen ujmującej życiowej pogody filozoficznej, którą w przeważnej mierze zawdzięczał solidnej konstytucji i zdrowemu temperamentowi gdańskiego „gbura“, w stosunku do młodzieży roztaczał godną swego prawzoru Sokratesa, pełną sympatji i troskliwości, życzliwość. Lepiej go znający twierdzili, iż, pomimo nawrócenia się w młodości i czynami wyznawanej odtąd wiary, pozostało u niego pewne *fond* sceptyczne, które objawiało się na zewnątrz ironicznem przymrużeniem oczu, dającem się łatwo uzmysłowić dla potomności na tle kunsztownie wiernej maski, wyrzeźbionej przez Laszczkę (w muzeum praskiem), na wewnątrz zaś szeregiem dziwacznych powiedzeń i zwrotów, w których trudno nieraz było rozeznać, gdzie kończy się mitologja i paganizm, a odkąd wkracza w swoje prawa sukienka ascetycznego zakonnika[1]).

Wydział prawny uniwersytetu w życiu towarzyskiem Krakowa zbytniej nie odgrywał roli. Poza suchością wykładanych na nim dyscyplin, która przechodziła poniekąd w krew i miąższ wykładających, przyczyniała się do pewnej ich izolacji okoliczność, że na tym wydziale, jako najściślej związanym z austrjackim duchem państwa, zachował się był najdłużej typ teoretycznych biurokratów, których już same nazwiska świadczyły nieraz o misji ich i pochodzeniu. A chociaż często już w piersiach pierwszej, a — z reguły — drugiej gene-

[1]) Patrz „Myśl Narodowa“ z 30-go sierpnia b. r.

[2]) Patrz Stanisław Tarnowski: „Konstancja Morawska“, Kraków 1927.

[3]) Franciszkiem, ministrem wojny w r. 1831, poetą-bajkopisarzem; Józefem, korespondentem filozofa Schellinga; Kajetanem, parlamentarzystą i publicystą.

[1]) Jedna z moich przyjaciółek warszawskich opowiadała mi o bardzo charakterystycznej przygodzie księdza Stefana, której widownią był pewien zaprzyjaźniony z nią dwór poznański. Po obfitem mianowicie obiedzie, przynoszącym zaszczyt reputacji miejscowej sztuki kulinarnej, przeniesiono się na werandę, na której — w dusznej atmosferze popołudniowej — wymowny zresztą Neoplatończyk zdrzemnął się nieco. W tem wybuchła burza i jęły padać pioruny. Groźne zjawiska przyrody nie zdołały wyprowadzić z atraksji Ojca Pawlickiego. Ale, gdy nabożna córka domu, chcąc odgonić burzę, jęła, tuż koło ucha, dzwonić mu dzwoneczkiem loretańskim, filozof otworzył oczy, kiwnął ręką i odezwał się, nie wymawiając litery „r“, aby się zbytnio nie natężać: „Poszę Pani, niech Pani przestanie z tym dzwonkiem, bo skoo elektyczność dodatnia spotka się z ujemną, i tak może się zdarzyć nieszczęście“. Tu już encyklopedysta stanowczo wziął górę nad teologiem.

racji tych importowanych uczonych biło serce polskie, to jednak lojalność czarno-żółta za nowszych jeszcze czasów u niektórych z nich była się utrzymała. Dowodem tego anegdotka, którą mi opowiadał niewyczerpany w rysach obyczajowych Frankfurtczyk, profesor Wilhelm Creizenach.

Otóż na jednym z uniwersytetów niemieckich zdarzyło mu się spotkać anatoma, który poprzednio, za doby germanizacyjnej, wykładał był w Krakowie, a świeżo, w ciągu jednej ze swoich ekspedycyj naukowych, wsławił się był odkryciem nieznanego gatunku żaby. Creizenacha, jako filologa, zaintrygowało przedewszystkiem niezrozumiałe dlań miano, którem szczęśliwy anatom opatrzył był swoje odkrycie. Na dotyczące zapytanie Creizenacha wyjaśnił mu uczony badacz, że zwierzę ochrzcił tak na pamiątkę jednego ze swych kolegów krakowskich, znanych z lojalności dla Austrji, a przyczyną denominacji stała się jedna z cech odkrytej żaby, a to charakterystyczne czarno-żółte plamy na poślednjej części ciała.

Mogę na tem miejscu pominąć najbardziej markantną (ale do późniejszej należącą epoki) postać wydziału prawniczego — Bolesława Ulanowskiego[2]), jak cały także owczesny wydział medyczny: wszystkich owych Madurowiczów, Jordanów, Rosnerów, Obalińskich, Rydlów, Pareńskich, Korczyńskich, aby zakończyć na włochatym i rozczochranym Rydygierze, którzy bądź pomagali do naszych urodzeń, bądź też leczyli naszych ojców i matki, ale — w ówczesnym mało zdemokratyzowanym ustroju społeczeństwa — rzadko występowali przy uroczystszych życia okazjach. Inaczej było z wydziałem filozoficznym, dawnym *artium*, który od czasów zwłaszcza Szujskiego niepoślednie w światku krakowskim zajmował stanowisko.

A tout seigneur toute honneur. Stanisław Tarnowski, któremu wdzięczne a obszerniejsze wspomnienie na innem poświęcam miejscu[3]), żonaty z Różą z Branickich, zamieszkiwał w latach, o których mowa, dawną już siedzibę Rzewuskich, wspomnianą willę na Szlaku. Pan domu towarzyskim z natury nie był, najlepiej mu było w sklepionej komnacie, gdzie, za biurkiem, skreślił całą niemal, tak ważną dla życia umysłowego i pedagogiki literackiej krakowskiej, spuściznę. I jeżeli Kraków uchodzi słusznie za jedną wielką nekropolę, jeżeli patrzy na otaczające go życie pod kątem swoich dostojnych grobów, to Tarnowski w tym względzie był kongenjalnym jego symbolem i wyrazicielem. Umysł w najwyższym stopniu tradycjonalistyczny, w znajomości historji polskiej precyzyjnie pamiętnikarski, był Tarnowski do grobu wierny ideałom, zawodom i towarzyszom swojej młodości. (Odsiadywał on sam niegdyś, jak Adam Potocki i jak kardynał Dunajewski, więzienie austrjackie, poczem dopiero utworzył słynną partję „Stańczyków“).

„Nepotem“ pary gospodarzy był hrabia Jerzy Mycielski. Z zawodu najpierw historyk, uczeń Szujskiego, potem jeden z najwcześniejszych u nas historyków sztuki, słynął na całą Polskę znajomością szkół i techniki mistrzów, bystrem okiem w odgadywaniu zatartych podpisów i wątpliwych autorstw. Ta właściwość była dlań Sezamem, otwierającym mu zazdrośnie nawet strzeżone siedziby magnackie, w których rozkoszach płużył sobie i smakował. W czasach, o których mowa, był spokojnym, (o ile to przy temperamencie wybuchowym hrabiego było możliwem) redaktorem „Przeglądu Polskiego“, pełnym heraldycznych upodobań i lubieżności, nikomu zresztą zanadto, a nawet jemu samemu (bo lubiano go powszechnie), nie szkodzących.

Historykiem sztuki, ale odmiennego a wyższego pokroju, był Marjan Sokołowski. Ten naukę swoją kochał duszą całą i nic poza nią nie widział. Zamurowany przez cały dzień w swoim gabinecie, czytający wszystko a wiedzący wiele, chorował tylko na ułomność u uczonych częstą, t. zw. *„weissbesseryzm“* t. j. manję znania się na przedmiocie lepiej od każdego specjalisty. Pamiętam pewne posiedzenie Akademji Umiejętności, w którem jako gość uczestniczyłem, gdzie nie pomnę już jaki referat przerywany był przez asystującego Sokołowskiego, jak stałym refrenem czy wtórem, niezbyt miłem dla referenta słówkiem: „Wiem... wiem...“

Ze Stanisławem Smolką przechodzimy niemal już w świat kulturalnego krakowskiego mieszczaństwa. Sam Lwowianin, syn znakomitego Franciszka, prezydenta austrjackiej Izby Posłów, a w dalszej geneologji pochodzenia austrjacko-czeskiego — stąd niepocieszony późniejszy jego żal po skonie monarchji habsburskiej — żonaty był pierwszy raz z Kremerówną, córką filozofa Józefa, którą stracił równocześnie prawie z analogicznem nieszczęściem swego przyjaciela, mojego ojca. Przez tę pierwszą żonę spowinowacony był z inną krakowską rodziną, Rydlów, która wydała poetę Lucjana. Smolka już z zewnętrznej swojej postaci miał coś reprezentatywnego i interesującego. Po ojcu odziedziczył długą po pas brodę, a z zalet moralnych gorący patrjotyzm, tak częsty u tych neofitów polskości. Zaczął produkować bardzo młodo, dając świetne nieraz studja o polskiem średniowieczu, to też nerwowa jego natura wyczerpała się szybko i — za czasów mojego dzieciństwa — sprawował jeszcze wprawdzie urząd sekretarza generalnego Akademji (po Szujskim), ale już był — co do zdrowia — ruiną. Później dopiero — po długim wypoczynku na Litwie, u krewnych drugiej żony — przyszło mu się skrzepić i opracować obfitującą znów w piękne karty monografję Lubeckiego, po upadku wszakże Austrji zapaść miał w ponowny marazm. Katolik gorący, w pewnym okresie redaktor „Czasu“, Smolka i w sposobie pisania i całą, rozpraszającą się czasem, wszechstronnością umysłu harmonizował z wysoką kulturą o charakterze humanistycznym, jaka rozwinęła się była w ówczesnym Krakowie.

Kreśląc ogólne tło, nie mogę pretendować do kompletności szczegółów, nie będę się zatem rozwodził ani nad osobą historyka dramatu europejskiego i znakomitego erudyta, wspomnianego wyżej wyżej Creizenacha, ani przyrodnika Rostafińskiego, ani slawisty Malinowskiego, ani historyka Zakrzewskiego, ani tylu innych kolegów mego ojca, których spotykałem jeszcze w domu „Pod Matką Boską“. Nie mam także zamiaru wspominać tutaj obszerniej o młodszej generacji uczonych, do której należeli: Bolesław Ulanowski, historyk Karol Potkański, przyrodnik Kazimierz Kostanecki, literat Marjan Zdziechowski. Tych wszystkich, ostat-

[2]) Inny z luminarzy wydziału prawniczego, Michał Bobrzyński, przemieszkiwał za czasów mojego dzieciństwa we Lwowie, gdzie sprawował funkcje wiceprezydenta Rady Szkolnej Krajowej.

[3]) W drukującej się właśnie książce politycznej: „Od S. Z. do B. B.“

nio wymienionych, będziemy mieli sposobność poznać przy dalszym opisie salonów krakowskich na przełomie dwóch stuleci.

II

Minęło już lat trzydzieści od chwili, kiedy ojciec mój kończył był dzieło, nad którem długo się był napracował, a które miało na celu uświetnić jubileusz pięćsetletni i przypomnieć znękanym potomkom sławę wiekopomną wszechnicy Jagiellońskiej. Ojciec mój, jak już wspomniałem na początku, wyszedł był od studjów filologicznych, ale pod impulsem i kierunkiem Szujskiego, którego poważał był gorąco, przeszedł do *cinquecenta* jagiellońskiego, do wydawnictwa poezyj-erotyków Krzyckiego, do barwnych szkiców dworu obu Zygmuntów, w końcu do monografji filologa Nideckiego ze szczególnem uwzględnieniem kultury za Batorego. W latach zaś 1895 — 6 jął przygotowywać wspomniane monumentalne dzieło: „Historja Uniwersytetu Jagiellońskiego".

Jubileusz uniwersytecki, którego ta praca była uwieńczeniem, rozegrał się w dniach 6 — 8 czerwca 1900, w tych dniach roku, w których Kraków bywa najpiękniejszy, kiedy świeża korona Plant się jeszcze nie przepaliła. Po zjeździe gości z Anglji, Francji, Niemiec, Włoch, Skandynawji, Szwajcarji, Rosji, Czech, Austrji i innych jeszcze krajów, po iluminacji miasta i raucie w Sukiennicach, nastał słoneczny dzień 7 czerwca, w którym, co żyło, wyległo na ulice. I my, młodzież gimnazjalna, znaleźliśmy się na nich, tworząc szpaler dla orszaku jubileuszowego, najpierw na Rynku, potem w uniwersyteckiej ulicy św. Anny.

Pochód barwny był i różnolity. Nie brakło banderyj chłopskich, pańskich kontuszów (widzę imponującą postać hr. Lanckorońskiego), czerwonych tóg angielskich, kanarkowych francuskich, granatowych polskich. Pod kościołem św. Anny, w którym odbywać się miała uroczysta akademja, wraz z innymi „mundurkami" odwołano mnie ze szpaleru do grupy dostojników, w której minister dla Galicji Piętak przedstawił mnie, ku wielkiemu memu poruszeniu, ministrowi oświaty, wybitnemu filologowi Hartlowi. Znalazłem się także później w barokowej świątyni uniwersyteckiej, pięknie udekorowanej gobelinami z Wawelu. Stał właśnie wtedy na trybunie Stanisław Tarnowski w majestatycznej gronostajowej todze rektora. Gromką owacją powitana została postać rozsławiającego już w Europie Polskę Henryka Sienkiewicza i, jeśli dobrze pamiętam, grupy Poznańczyków i Polaków z Ameryki, — a śpiewano właśnie na chórze końcowe Gorzyckiego: „*Gaude Mater Polonia!*", gdy z za gromowej chmury czerwcowej wychyliło się znowu słońce i promiennym blaskiem oświetliło świątynię.

Popołudniu czy wieczorem dnia tego odbyło się jeszcze przedstawienie w teatrze, na którem wystawioną została m. i. „Odprawa posłów greckich" Kochanowskiego, pod niebardzo fortunnie dobranym (w programie francuskim dla gości) tytułem: „*Le renvoi des ambassadeurs grecs*". W jednej z lóż zwracała uwagę ogólną postać sędziwa delegata uniwersytetów włoskich, hrabiego Nigry, podówczas ambasadora w Wiedniu, tego samego, na którego wspierając się ramieniu, trzydzieści lat wprzódy, uciekała z płonących już Tuileryj cesarzowa Eugenja. Nazajutrz, przy stale pogodnym czasie, w dziedzińcu Bibljoteki Jagiellońskiej, przed odsłoniętym świeżo pomnikiem Kopernika, ojciec mój klasyczną łaciną witał zaproszonych gości z Zachodu i Wschodu. Skończył się jubileusz ucztą (jeżeli dobrze pamiętam) w „Sokole", podczas której mnogość zwłaszcza wyrosłych na piaszczystych glebach Polski szparagów zadziwiała zagranicznych uczestników i — zbiorową wycieczką do Wieliczki (w brekach amerykańskich, dostarczonych przez Andrzeja Potockiego), gdzie nastąpiły nowe libacje tak hojne, że podochocony niemi biesiadnik (*a privatissime* gorliwy hakatysta), delegat uniwersytetu berlińskiego, niedawno zmarły Sachau, nie mógł powstrzymać się od wdrapania się na stołek i huknięcia stentorowym głosem: *Noch ist Polen nicht verloren!* [1])

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI [2])

---

[1]) Wogóle z tymi niemieckimi delegatami, w dobie prześladowań pruskich i w roku poprzedzającym skandal wrzesiński, kłopot był oczywiście niemały. I nie byliby przyjechali wcale, gdyby w ostatniej chwili nie był się wdał drogą telefonicznej interwencji ówczesny austrjacki minister spraw zagranicznych, hr Gołuchowski, któremu zależało na tem, ażeby na wielkiej uroczystości polskiej pod berłem austrjackiem nie brakło reprezentantów wiernego sprzymierzeńca z nad Szprewy.

[2]) Jeden z czytelników moich zwraca słusznie moją uwagę, że w poprzednim feljetonie, przy wymienieniu rodziny Wodzickich, zapomniałem o bardzo wielkich zasługach, jakie położyła dla popularyzacji historji polskiej członkini tego rodu, hrabina Teresa z Potockich Wodzicka, jedna z najznakomitszych literatek polskich starszego pokolenia.

UDZIAŁ POLSKI W CZESKIEM ODRODZENIU NARODOWEM

ODRODZENIE narodowe Czechów w końcu XVIII i na początku XIX wieku należy do najciekawszych i największych zjawisk w nowoczesnych dziejach Europy: naród, którego historja od czasu bitwy Białogórskiej była, jak to się Niemcom zdawało, historją powolnego konania, zaczął nagle stwierdzać prawdę słów Krasińskiego że, w epoce chrześcijańskiej, żaden lud, który stał się narodem, nie umiera. Jest zaś to odrodzenie narodowe Czechów dziełem nie tylko fizycznej i duchowej żywotności całego narodu, ale nadewszystko patrjotyzmu i rozumu wybitnych jednostek, w szczególności filozofów i poetów, i dlatego właśnie przypomina ono żywo „odrodzenie sztuk i nauk" we Włoszech i wogóle w Europie zachodniej w XIV, XV i XVI wieku.

Lecz jest jeszcze inne podobieństwo. „Odrodzenie sztuk i nauk" w Europie zachodniej dokonało się w ogromnej mierze przy pomocy sztuki i literatury starożytnej. Otóż w historji odrodzenia czeskiego olbrzymią rolę odegrała także nauka i literatura pewnego narodu; a tym narodem była Polska. Wiedziano coś o tem dawno, ale tylko piąte przez dziesiąte, — nie domyślano się nawet, że ta

rola była tak wielka. Niepodzielną zasługę naukowego stwierdzenia tego faktu historycznego i nakreślenia źródłowej i szczegółowej jego historji położył profesor literatury polskiej w uniwersytecie praskim, autor całego szeregu monografij o poszczególnych dziedzinach preromantyzmu i romantyzmu polskiego, Marjan Szyjkowski, — w książce, świeżo wydanej przez Instytut Słowiański w Pradze: „Udział Polski w czeskiem odrodzeniu narodowem".[1]) Obyż ta książka, stanowiąca dopiero tom pierwszy wielkiej całości, a napisana i wydana w języku czeskim (pod hasłem: *ne frustra panem Bohemiae manducarem*), ukazała się jaknajprędzej w języku polskim: przecie my bardzo mało czytamy po czesku, nie odwzajemniając się Czechom, którzy tak dużo czytają po polsku. Nie chodzi tu zresztą o odwzajemnienie, ale o to, że warto chyba, ażeby i u nas wiedziano, czem była dla Czechów nasza literatura stanisławowska oraz nasza slawistyka i polonistyka pierwszych (a i późniejszych jeszcze) lat XIX wieku, oraz jak ożywione stosunki istniały pomiędzy uczonymi i literatami polskimi a czeskimi.

Nie wdając się w streszczanie wręcz rewelacyjnych rezultatów długoletnich badań Szyjkowskiego (streścił je sam autor w „Sprawozdaniach z czynności i posiedzeń Polskiej Akademji Umiejętności"), poprzestajemy na kilku przykładach oddziaływania poezji i nauki polskiej na czeską.

Oto jeden z najwcześniejszych i najbardziej około odrodzenia narodowego zasłużonych poetów — Antonin Jarosław Puchmajer: zrazu wzoruje się na poezji niemieckiej, tłumaczy także odę poety rosyjskiego Cheraskowa, ale niebawem zwraca się do poezji polskiej, przerabia „Świątynię Wenery" Szymanowskiego, bajki Kniaźnina, sielanki Karpińskiego, przypowieści Krasickiego. Śladami Puchmajera idą poeci i literaci, dzięki którym polska poezja stanisławowska staje się potężną dźwignią rozwoju poezji czeskiej. A nie tylko stanisławowska: „Śpiewy historyczne" Niemcewicza, stają się, rzec można, podwaliną czeskiej poezji patrjotycznej: dosyć powiedzieć, że, jak to przekonywająco udowodnia autor, one to pobudziły Wacława Hankę do tworzenia owych słynnych falsyfikatów, które tak wielką rolę odegrały w rozbudzeniu w Czechach uczuć patrjotycznych.

A cóż dopiero powiedzieć o filologji czeskiej, bez której rozkwitu nigdyby się nie dokonało czeskie odrodzenie narodowe! Oto najzasłużeńszy pracownik na tem polu — Józef Jungmann: jego „Słownik" jest epoką w historji nowoczesnej kultury czeskiej; otóż, jak to wykazuje Szyjkowski, nietylko pobudką, ale i wzorem był tutaj Jungmannowi Linde, i to zarówno w architektonice dzieła, jak i w zasobie leksykalnym. Swój przekład „Raju utraconego" Miltona oparł Jungmann na przekładzie Jacka Przybylskiego, jakby słuchając rady Puchmajera, który czeskim tłumaczom zaleca posługiwanie się przekładami polskiemi. Z tego to przekładu — pisze Szyjkowski — przejął Jungmann całą masę wyrażeń i zwrotów; stąd przetłumaczył dosłownie prozaiczne wstępy na czele każdej z dwunastu ksiąg eposu, na tej podstawie zmieniał i skracał, popełniając nieraz charakterystyczne błędy, wynikające z tego samego brzmienia słów polskich i czeskich przy całkiem innem ich znaczeniu. Niezmiernie cennem jest także odkrycie Szyjkowskiego, z jakim to zapałem zajmował się Jungmann poezją polską, zwłaszcza „Śpiewami historycznemi" Niemcewicza.

Niemniej bogate rezultaty przynoszą badania autora nad twórczością Dobrowskiego i Wacława Hanki. Dodać jeszcze trzeba, że i historyk literatury i nauki polskiej znajdzie dla siebie w jego książce dużo materjału, a mianowicie cały szereg nieznanych a ważnych szczegółów, dotyczących życia i twórczości pisarzów polskich.

Jedną z największych zasług naukowych Brücknera są jego badania nad promieniowaniem literatury i kultury polskiej na Wschód, nad tym olbrzymim wpływem, który ona wywierała zwłaszcza w XVII wieku, na literaturę i kulturę Rusi. Otóż obok tych badań Brücknera stają godnie badania Szyjkowskiego nad tą olbrzymią rolą, jaką literatura i kultura polska odegrała w życiu duchowem Czechów.

IGNACY CHRZANOWSKI

[1]) *Polská účast v českém národním obrození. Část I. (Práce Slovanského Ústavu v Praze. Svazek III).* Praga, 1931, str. 508.

PIEŚŃ MŁODEGO MYŚLIWCA

(Z „Drugiej Księgi Dżungli" RUDYARDA KIPLINGA).

Nim wrzaśnie horda małp przebrzydła
i nim paw Mor otrząśnie skrzydła,
nim Chil myszołów śmignie zdala przez powietrzny szlak,—
przez puszczę mknie niepostrzeżenie
cień jakiś nikły i westchnienie: —
To Strach, to Strach, Myśliwcze Młody — och, to Strach!

Cichuśko — hen — przez uroczyska
cień baczny, czujny się przeciska —
i szept się szerzy dziwny pośród kniej i wydm i łach — — —
I pot się perli na twej skroni,
bo szept ten goni wciąż i goni: —
To Strach, to Strach, Myśliwcze Młody, — och, to Strach!

Nim księżyc wzejdzie nad górami
i w srebrne smugi je poplami, —
gdy wszelki zwierz, skuliwszy ogon, drży w wilgotnych [mgłach, —
tuż poza tobą, w nocnej ciszy,
czyjś oddech szemrze, parska, dyszy: —
To Strach, to Strach, Myśliwcze Młody — och, to Strach!

Uklęknij żwawo! Łuk napinaj —
powietrze świstem strzał przecinaj—
i ostrą włócznię pogrąż w pustych urągliwych krzach!
Lecz chęciom twym nie będzie zadość:
drżą dłonie, w licach widna bladość...
To Strach, to Strach, Myśliwcze Młody — och, to Strach!

Gdy w kłębach kurzu grzmi huragan,
gdy bór się wali, wichrem smagan,
gdy burza tnie ulewą, rozmywając żwir i piach, —
nad ryk zawiei i nad gromy
głos jakiś huczy nieznajomy:—
To Strach, to Strach, Myśliwcze Młody — och, to Strach!

Strumienie z brzegów wystąpiły,
toczą się z hukiem głaźne bryły —
i każdą żyłkę liścia widać w błyskawicy skrach — —
Twój głos zamiera, dech się późni,
a serce wali jak młot w kuźni: —
To Strach, to Strach, Myśliwcze Młody!.. tak, to Strach!..

Przełożył JÓZEF BIRKENMAJER [1]).

[1]) W poznańskiej „Bibljotece Laureatów Nobla" ukaże się wkrótce nowy przekład kiplingowskich „Ksiąg Dżungli", dokonany przez Józefa Birkenmajera.

NA WIDOWNI

Troski „sanacji“. — Z jakiem hasłem idzie prasa sanacyjna w lud? — Pogląd St. Wyspiańskiego. — Przedstawiciele Polski w Lidze Narodów.—Przepis chemiczny na nowy związek „państwowościowy“.

JAKIE troski spędzają sen z powiek publicystom sanacyjnym? Jakie fakty mącą pogodny nastrój ich umysłów i zmuszają ich do pogrążenia się w smętnej zadumie?

Myśl o Brześciu, „nieznanych sprawcach“ itp. nie wywołuje na ich obliczach rumieńca wstydu, raczej krasi je uśmiechem zadowolenia. Położenie międzynarodowe Polski, jej obecna pozycja w świecie jest dla nich (według wygodnej maksymy: „poprzestawać na małem“) powodem ustawicznego entuzjazmu. Jeśli wspomną o kryzysie gospodarczym, to jedynie w tym celu, żeby wykazać, jak skutecznie i umiejętnie potrafi rząd kryzys ten przezwyciężyć i opanować.

A jednakże i dla nich życie Polski współczesnej posiada ciemne strony, o których nie mogą już milczeć dłużej. I dla nich też istnieje zło, które musi się zwalczać, przeciw któremu nie wahają się podjąc propagandy, nie rachując się z żadnemi względami, nie bacząc na przeszkody.

Jakaż jest ta reforma, pilna i ważna, którą pragną urzeczywistnić? Z inicjatywą występuje sanacyjny dziennik brukowy „Dzień Dobry!“ (wyd. „Prasa Polska“ S. A. Warszawa, Marszałkowska 3, 5, 7), rozpoczynając agitację na rzecz małżeństw mieszanych polsko-żydowskich i usiłując obalić wszelkie piętrzące się na tej drodze zapory. W imię zniszczenia tych okrutnych, tradycyjnych barjer podejmuje pisemko sanacyjne kampanję prasową, z rutyną fachowców posługując się stosowanemi zwykle w podobnych wypadkach sposobami.

Nasamprzód więc szczegółowo informuje „Dzień Dobry!“ o smutnym losie „p. Dawida R. z Radomia“, który „pokochał chrześcijankę“, ale „rodzice oświadczyli mu, iż woleliby go widzieć na śmiertelnych marach, niż mężem ukochanej, ale różnej wiarą i rasą kobiety“. Wkrótce potem, pod wielkim czterołamowym nagłówkiem (jest to cała szerokość stronicy pisma) ogłasza „Dzień Dobry!“ listy swoich tkliwych czytelniczek, w których „sercach wrażliwych“ „odezwał się echem“ tragizm opisanego wyżej konfliktu. Korespondentki jednomyślne są w zachęcaniu „p. Dawida“ do wytrwałości, do nie poddawania się podszeptom rozpaczy oraz do przyprowadzenia do skutku—wbrew trudnościom—jego matrymonjalnych zamierzeń. Zamieszczony na pierwszem miejscu list „stałej czytelniczki“ (podpisany „Rena R. z Warszawy“) takie oto podaje do naśladowania przykłady:

„Jestem polką — chrześcijanką i kocham żyda. Ja mam 21 a on 23 lata. Oboje zależymy materjalnie od swoich rodziców, którzy o naszem małżeństwie słyszeć nie chcą — woleliby nas widzieć umarłych, tembardziej że jesteśmy jedynakami.

Staramy się usamodzielnić, t. zn. uczymy się, aby móc dostać jakąś pracę i pobrać się. Weźmiemy ślub cywilny, gdyż zmienianie religji uważam za zbyteczne“.

Obszerny list zamykają następujące ogólniejsze nauki moralne:

„Pieczone gołąbki nie lecą same do gąbki“. Każdy człowiek powinien na szczęście pracą zasłużyć. A na rodziców uwagi nie zwracać, jeśli nie rozumieją swych dzieci“.

Z takiem hasłem propagandowem zwraca się „sanacja“ do mas, w dzienniku dziesięciogroszowym, przeznaczonym dla najszerszych kół czytelniczych... Oto jest postawa duchowa, do której przyzwyczaja, do której przyucza zastępy swoich zwolenników...

Przed trzydziestu laty Stanisław Wyspiański nawoływał przez usta Konrada w „Wyzwoleniu“ (akt II, rozmowa z Maską 12), że „przedewszystkiem powinniśmy uszanować krew narodu. I nie dać jej marnować“. Oddawanie „naszych kobiet obcym, tym obcym, którzy siedzą wśród nas“ nazywał krótko i twardo: „prostytucją“. Sądził, iż Polka, wstępująca w takie związki małżeńskie, „czyni podłość, która się prędzej czy później odezwie w charakterze potomstwa... Że wytwarza się tłum ludzi obojętnych dla naszego narodowego społeczeństwa, którzy go zaprzedają“. Kiedy zaś Maska usiłuje oponować: „Ależ kobiety są niezależne“, Konrad odpowiada jej natychmiast: „Nie, nie są i nie będą. Bo całem ich dążeniem i życzeniem powinno być, żeby od tej myśli niezależne nie były“.

Ale Wyspiański był Polakiem, poprostu Polakiem, nie zaś „obywatelem bez różnicy narodowości, stojącym na gruncie państwowości...“ A zresztą po roku 1926 „krew narodu“ ogromnie obniżyła się w cenie...

*

Od sercowych trosk „p. Dawida R. z Radomia“ warto przenieść się myślą na *forum* obszerniejsze, gdzie ścierają się interesy nie jednostek już, ale państw i narodów. Jest właśnie wrzesień, miesiąc, w którym corocznie obraduje Zgromadzenie Ligi Narodów w Genewie. Delegatem stałym Polski już od szeregu lat jest, jak wiadomo, minister Franciszek Sokal. Na długo zanim nazwisko to stało się głośne, nim dyplomaci z dalekich stref i kontynentów przyzwyczaili się widzieć w postaci tej ekstrakt polskości i wyobraziciela myśli politycznej naszego narodu, zanotował go skrzętny Jeske-Choiński wśród nazwisk osób, które w Warszawie porzuciły wyznawaną dawniej religję mojżeszową, przystępując do wyznania ewangelicko-augsburskiego (T. Jeske Choiński: „Neofici polscy“, Warszawa, 1905, str. 217). W komisji I (prawniczej) tegorocznego Zgromadzenia Ligi przedstawicielem Rzplitej jest p. Szymon Rundstein. W komisji III (dla spraw rozbrojenia) jako towarzysz p. Sokala zasiada p. Tadeusz Gwiazdowski (rodzony brat dziennikarza warszawskiego p. Grossterna); w komisji VI (politycznej), poza oczywiście p. Sokalem, jeszcze p. Anatol Mühlstein.

Można dziwić się, że np. przedstawicielami Polski w komisji do spraw rozbrojenia, obok pp. Sokala i „Gwiazdowskiego“, niezbyt chyba tajników wiedzy wojskowej świadomych, są ponadto: pani Szelągowska tudzież p. Tytus Komarnicki, również nie specjaliści-fachowcy w tej dziedzinie. Można dziwić się, że kraj, w którym wojskowi rozmaitych stopni od kilku lat dostarczają głównego kontyngentu ministrów, wojewodów, starostów, dyrektorów banków i kas oszczędności, obronę swych żywotnych interesów w zakresie wojskowości oddaje w ręce delegacji tak jednostronnie... cywilnej. Ale skład rasowy przedstawicielstwa, wysłanego przez

Rzeczpospolitą Polską na Zgromadzenie Ligi Narodów, w nikim chyba wzbudzić nie może zdumienia.

Trzeba przyznać, że w tym wypadku ideologja obozu sanacyjnego jest jednolita i konsekwentna. Czy chodzi o zagadnienie zawierania związków małżeńskich, czy o sprawę reprezentacji Polski w polityce międzynarodowej, hasło mieszania czynnika polskiego i żydowskiego stanowi główną tajemnicę tej chemji, która wytworzyć ma nowy, sanacyjny związek „państwowościowy".

Po połowie.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

SENSACJE I PARADOKSY SPRAWY RUSKIEJ

W OSTATNICH czasach mieliśmy do czynienia z kilku zastanawiającemi faktami na terenie sprawy ruskiej:

1. Akty terroru w Małopolsce wschodniej, systematycznie uprawianego z kulminacyjnym punktem zabójstwa śp. Hołówki.

2. Wynurzenia prasy i mówców obozu prorządowego, że śp. Hołówko był twórcą autorytatywnym programu wyzwolenia ludów, zamieszkujących Rosję, a więc Ukrainy i Białorusi, i że z tego tytułu miał on zostać kierownikiem zjednoczonych województw ruskich we Lwowie.

3. Dokumenty opublikowane w krakowskim „Kurjerze Codziennym", z których wynika, że rząd niemiecki posiada swoje organizacje w Małopolsce wschodniej, przez które wykonywa dawny program ukraiński irredentystyczny.

4. Doniesienia prasy o wzmożeniu przez Polskę akcji ugodowej w tej dzielnicy aż do nadania autonomji.

Z faktów tych wynikałoby, że Polska i Niemcy współzawodniczą z sobą w kierunku tworzenia samoistnego państwa ukraińskiego i że wobec Rosji my tę robotę jawnie firmujemy, podczas gdy Niemcy się konspirują. Następnie, cokolwiekby się słyszało po naszej stronie o dystynkcjach robionych między Ukrainą do Zbrucza i za Zbruczem, faktem jest, że Małopolska wschodnia stanowi głowę tej ryby dnieprowsko-czarnomorskiej, podczas gdy tułów w Rosji jak był, tak jest dotychczas bierny. Dalej, że Niemcy ubocznie wykorzystują ruch ukraiński przeciwko Polsce, szerząc krwawy rozłam w społeczeństwie naszem. Czy dojdzie kiedy do „samostijnej" Ukrainy, o tem Niemcy nie wiedzą, ale to wiedzą, że ogniem tego ruchu, tak faworyzowanego, Polskę podpalą.

Śledztwo w sprawie zabójstwa śp. Hołówki dotąd nie doprowadziło do rezultatów. Istnieć tylko mogą, co do sprawców, logiczne przypuszczenia. Wydaje się rzeczą nielogiczną, aby czyn ten morderczy wynikł z przesłanek współzawodnictwa niemieckiego o serce przyszłej Ukrainy, program bowiem wielkiej Ukrainy odpowiada starym planom niemieckim. Ale istnieje przecież czynnik bardzo zainreresowany, aby nikt planów tych nie podejmował: Sowiety, nie przebierające w środkach agresywności, tembardziej obrony.

I dobrze się stało, że opublikowano dokumenty, tyczące polityki ukraińskiej Niemiec, tak konspirowanej. Bo się pokazało, kto jest właściwie twórcą planów ukraińskich. Niemcy nie zrzekły się ich po wojnie. To, co robiły od początku tego stulecia w Małopolsce za pośrednictwem Austrji i własnych konsulów we Lwowie, robią i teraz, mianowicie hodowlę nasion ukrainizmu. Posługiwano się dawniej namlestnikami, których narażano na niepopularność w społeczeństwie polskiem, albo ich mordowano, skoro nie byli dogodni, jak Andrzeja Potockiego. Dzisiaj robota byłaby trudniejsza, gdyby nie dogodna konjunktura wewnątrz społeczeństwa polskiego.

Kwestja ruchu, dziś w całym swoim kompleksie poruszona, wybiła się na pierwszy plan trosk polskich równolegle do przesilenia gospodarczego. Nawet ono jej nie zagłuszy.

Z powodu czynionych przygotowań do autonomji Ukrainy i Białorusi w granicach Rzpltej, mianowicie z powodu projektów połączenia odpowiednich województw w dwa obszary administracyjne „Gazeta Warsz." (nr. 285) pisze:

„Nowy podział województw na wschodzie odpowiada starym, federalistycznym zamysołm czynników dzisiaj decydujących. Odnosi się to zwłaszcza do sprawy utworzenia wielkiego województwa lwowskiego w miejsce dotychczasowych trzech województw południowo-wschodnich. Obecnie granice tych województw były tak ustalone, że największe i najważniejsze z nich, lwowskie, ma większość polską, w tarnopolskiem ilość Polaków i Rusinów jest prawie równa, zaś stanisławowskie ma zdecydowaną większość ruską. Natomiast w wielkiem województwie lwowskiem, według propozycji komisji p. Jaroszyńskiego, Polacy znaleźliby się w mniejszości.

Utworzenie z całej Małopolski Wschodniej jednego obszaru administracyjnego byłoby spełnieniem dawnego postulatu ukraińców, którzy jeszcze za czasów austrjackich domagali się podziału Galicji na Zachodnią — polską i Wschodnią — ruską. Obecnie projekt ten jest jednym z punktów ewentualnej ugody między ukraińcami a sanacją. Z okazji śmierci gorącego zwolennika tej ugody, ś. p. Hołówki, pisma rządowe doniosły wyraźnie, że był on upatrzony na naczelnika przyszłego wielkiego województwa lwowskiego. Aby zrozumieć należycie znaczenie i niebezpieczeństwo utworzenia takiego obszaru administracyjnego, trzeba pamiętać o tem, że podział administracyjny jest podstawą samorządu terytorjalnego. Samorząd wojewódzki wojew. lwowskiego byłby właściwie zrealizowaniem autonomji terytorjalnej Wschodniej Małopolski, czego domagają się wszystkie partje t. z. ukraińskie a za czem opowiada się P. P. S. i pewne czynniki w obozie rządzącym.

O nastawieniu politycznem tych czynników świadczy najlepiej fakt, że zdecydowały się one na zniesienie województw nowogródzkiego i białostockiego oraz utworzenie wielkiego województwa wileńskiego głównie dlatego, aby w jednem obszarze administracyjnym zamknąć kwestję białoruską, podobnie jak w województwie lwowskiem — ukraińską".

Sanacyjny „Kurjer Polski" napisał w tych dniach wyraźnie:

„Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że zaczął dojrzewać i zbliżać się do realizacji pomysł wypracowania współżycia z ludnością ukraińską w Polsce na zasadach udzielenia jej dość szerokiej autonomji. Głównym rzecznikiem tej idei był właśnie zamordowany ś. p. Hołówko... który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa po przeprowadzeniu tej autonomji w takich, czy innych rozmiarach, miał stanąć na czele trzech połączonych województw wschodnio-małopolskich i doprowadzić do zgodnego współżycia ludności polskiej i ukraińskiej"..

Z powodu tej rewelacji „Myśl Niepodległa" (z 12 wrześ.) robi uwagę, że w takim razie zaczynałaby się decentralizacja od koncesyj politycznych na rzecz „dziczy", jak ją nazywał sam Hołówko, takich

„koncesyj politycznych, które budziły zgrozę wśród działaczy sanacyjnych odnośnie do innych, bez porównania kulturalniejszych dzielnic Rzeczypospolitej. Po aresztowaniu posła Wojciecha Korfantego, pułkownikowska „Gazeta Polska", chcąc go zohydzić, przypisywała mu „dążności separatystyczne w kierunku oderwania Górnego Śląska od Polski i uzyskania autonomji dla województwa Śląskiego". W lipcu r. b. „Dzień Pomorski", założony przez p. Wiktorą Wronę-Lamota,

a redagowany przez dr. Adama Piskozuba-Brzega, sygnalizował „z całą powagą i odpowiedzialnością“ powstanie „Komitetu pracy autonomicznej“ w b. Dzielnicy pruskiej, nazywając to „zbrodniczemi, rozkładowemi pomysłami“. Tymczasem o projekcie wyodrębnienia Małopolski wschodniej i podarowaniu Ukraińcom bohaterskiego Lwowa, który został udekorowany krzyżem „Virtuti Militari“ za to, że odparł najazd ukraiński, wspomina się, jako o czemś zrozumiałem i dopuszczalnem“.

Kwestja ruska stała się dominującem zagadnieniem w naszej polityce wewnętrznej i zagranicznej. Trzeba powołać do życia całą przytomność i świadomość dziejową Polski, żeby błędny krok w tym kierunku nie spowodował jej szkody.

NA RACHUNEK „CZŁOWIEKA Z ULICY“.

KOMIWOJAŻER Pan-Europy jej „cymbał brzmiący i miedź brzęcząca“, słowem: pan Aleksander Lednicki mówił w Paryżu (w kwietniu b. roku), w „Międzynarodowym Instytucie Współpracy Umysłowej“, na temat „Człowiek z ulicy w Polsce a organizacja pokoju“. O tem, że Aleksander Robertowicz jest utalentowanym „organizatorem pokoju“ w Europie — zwłaszcza z Niemcami — że w tej roli występował nieraz i podczas wielkiej wojny i w okresie powojennym, wiedzieliśmy oddawna, dziś wszakże dopiero dowiedzieliśmy się, iż temu ulubionemu sportowi swemu oddaje się on jako... „człowiek z ulicy“.

Zaprotestowawszy „energicznie“ przeciw tytułom prezesa, wiceprezesa, ministra, jakiemi obsypywano go w zaproszeniach na zebranie stowarzyszenia „*Les Amitiés Internationales*“, p. Lednicki oświadczył, iż, przedstawiając zebranym „myśli o pokoju“ przeciętnego człowieka w Polsce „ma ambicję zaprezentować siebie samego, jako właśnie typ, rzec można, doskonały „człowieka z ulicy“. Poczem tak wywodził: „Zaledwie jednak odzyskał wolność, Polak „z ulicy“ zabrał się odrazu do roboty, do uprawy roli i odbudowania chaty, a robiąc to, myślał już o pracy pożytecznej dla całej ludzkości, dla całego dzieła moralnej i twórczej odbudowy, jakie należało podjąć w nowej Europie...“ I tak, w przeciągu kilkunastu lat, „człowiek z ulicy“ budował, wznosił, siał — „wiedziony zawsze myślą, że z jego trudu winien wynieść korzyść zarówno naród polski jak również wszyscy ci, co zamieszkują polskie terytorjum, a nawet ci, co tworzą wspólnotę europejską...“

A dalej „nasz „człowiek z ulicy“ ma wielkie zaufanie do areopagów międzynarodowych, posiadających dlań autorytet sprawiedliwości, prawości, dobrej wiary. W ten sposób — mówi on sobie — doszło się do stworzenia sumienia indywidualnego w stosunkach prywatnych. Dlatego właśnie Genewa symbolizuje dla każdego Polaka, w szczególności dla „człowieka z ulicy“ coś w rodzaju uniwersalnego sumienia, powołanego do wpływania uśmierzająco, dobroczynnie na wzburzonych i niezadowolonych, których wielki sędzia, Czas, doprowadzi do rozwagi, a nawet zaspokoi ich słuszne roszczenia...“ Unoszony płytką swadą typowego „*prisiażnawo powierennawo*“, nagadał p. Lednicki mnóstwo podobnie beztreściowych komunałów, no i nie zapomniał dodać, że on aż czterdzieści lat śnił o zmartwychwstaniu Polski, nie powiedział tylko, iż sen ten rozwijał się na wygodnem łożu partji Kadetów... A niech by sobie tak gadał aż do znudzenia uprzejmych słuchaczów — to mu wolno, niepotrzebnie tylko występował w roli przeciętnego Polaka, „człowieka z ulicy“, bo ten posiada sporo zdrowego rozsądku i kpi sobie z podobnych bredni. Tak przemawiają, zarówno w Polsce jak i w Pan-Europie, nie „ludzie z ulicy“, lecz raczej „ludzie z loży“. Przędzę ich złotych myśli rozsnuwał p. Lednicki przed członkami stowarzyszenia „*Les Amitiés Internationales*“. Tam ta czcza gadanina była zupełnie na swojem miejscu, ale że ją wydrukował prof. Wędkiewicz w „Przeglądzie Współczesnym“, tak przecie starannie redagowanym — to już więcej razi!

ZE ŚWIATA

GOSPODARKA NIEMIEC W ŚWIETLE RAPORTU EKSPERTÓW FINANSOWYCH

RAPORT komitetu ekspertów finansowych, który zakończył swe obrady w dniu 14 sierpnia w Bazylei, rzuca jaskrawe światło na gospodarką finansową niemiecką w ciągu lat ubiegłych.

Konstatuje on, że w ciągu lat 1924 — 30 zadłużenie zagraniczne Niemiec wzrastało w tempie przyśpieszonem. Oprócz tego rosła ciągle różnica między ich wierzytelnościami zagranicą a wierzytelnościami zagranicy w Niemczech na korzyść tych ostatnich.

Wysokość zadłużenia zagranicznego Niemiec w roku 1930 wynosiła 25.5 miljardów marek. Odejmując od tego wierzytelności Niemiec zagranicą — 9.7 miljardów mk., uzyskujemy 15.8 miljardów mk. jako zadłużenie Niemiec wobec zagranicy *netto*.

„Słabość położenia finansowego Niemiec wynika z faktu“—mówią eksperci—„że podczas gdy pod koniec 1930 r. 5.3 miljardy marek niemieckich wkładów zagranicą, łącznie z wekslami zagranicznemi, posiadanemi przez Bank Rzeszy, wynoszącemi 0.8 miljardów, były na krótkie terminy, to krótkoterminowe zadłużenie Niemiec wynosiło nie mniej jak 10.3 miljardy marek“.

Tymczasem z końcem roku 1930 dało się zauważyć zjawisko zmniejszania się tych zobowiązań krótkoterminowych. W dniu 31 lipca 1931 r. suma ich wynosiła już tylko 7,4 miljardy mk. Powodem było pozbywanie się przez zagranicę krótkoterminowych papierów niemieckich i nieudzielanie nowych kredytów. Niemcy zaś od dłuższego czasu stały się organizmem gospodarczym, który musiał się nieustannie „dożywiać“ z kredytów zagranicznych. Jeżeli te zasiłki przybierały w tak dużej części formę kredytów krótkoterminowych, było to dla Niemiec objawem niepomyślnym, bo tego rodzaju kredyty są dobre tylko wtedy, kiedy są zrównoważone kredytami udzielanemi przez własny kraj zagranicy i kiedy są produktywnie używane. Ani jedno ani drugie nie miało miejsca w Niemczech.

Według danych przedstawionych komitetowi ekspertów przez rząd niemiecki, pożyczki zaciągane przez Niemcy były zużyte na pokrycie deficytu bilansu handlowego, na opłatę amortyzacji długów zagranicznych, na reparacje — reszta wreszcie posłużyła na powiększenie zapasu złota Banku Rzeszy. Widzimy zatem, że większa część ich szła na cele, które nie mogły dostarczyć dochodów na pokrycie zadłużenia. Ta chwila zatem, kiedy przychodził kryzys, pociągający za sobą automatycznie

osłabienie dopływu kapitałów, czyli trudności w odnawianiu kredytów krótkoterminowych, musiała być dla Niemiec specjalnie niebezpieczna. Musiały się zacząć po pierwsze trudności w uiszczaniu się z nieustannie napływających płatności krótkoterminowych, po drugie życie gospodarcze musiało odczuć brak dopływu zasiłków, do których było już przyzwyczajone przez kilkoletnią fatalną praktykę.

Trudności, a potem wprost niemożność wywiązania się z zobowiązań, postawiła Niemcy w przeciągu paru miesięcy w położeniu bankruta.

Komitet ekspertów zatem zajął się przedewszystkiem sprawą długów krótkoterminowych i opracował pewną formułę, która nie jest niczem innem jak stwierdzeniem niewypłacalności Niemiec.

Proponuje ona mianowicie prolongację zobowiązań krótkoterminowych na okres sześciu miesięcy. Ma to być zrealizowane w formie indywidualnych układów między wierzycielem zagranicznym a dłużnikiem niemieckim. Schemat takiej ugody opracowano równocześnie.

To jest jednak środek tymczasowy, który w gruncie rzeczy nic nie pomoże. Odracza tylko wypadki na parę miesięcy.

Oprócz tego zajęto się w Bazylei kwestją powrotu do Niemiec kapitałów, które uciekły stamtąd w ostatnich czasach.

Eksperci zadają sobie najpierw pytanie, czy Niemcy nie mogą same tych kapitałów odzyskać. Prowadziłyby do tego dwie drogi. Albo spieniężenie, „mobilizacja“ wierzytelności niemieckich zagranicą, albo też uzyskanie dodatniego bilansu handlowego.

Pierwsze, zdaniem ekspertów, jest niemożliwe do przeprowadzenia. Drugie wymagałoby zbyt wielkich ofiar ze strony społeczeństwa niemieckiego i doprowadziłoby do dalszej pauperyzacji mas. Oprócz tego podjęcie przez Niemcy *dumping*'u na wzór Sowietów zagroziłoby poważnie interesom innych państw, zmusiłoby je do wzmocnienia ochrony swego przemysłu, zatem do nowych utrudnień dla eksportu niemieckiego.

Odradzając tych wszystkich sposobów, komitet ekspertów dochodzi do wniosku, że jedynym środkiem o trwalszych skutkach byłaby długoterminowa pożyczka międzynarodowa.

Równocześnie jednak eksperci konstatują, że w chwili obecnej „nie można uzyskać żadnej długoterminowej pożyczki, opierającej się wyłącznie o kredyt samych Niemiec“. A mianowicie dla dwu kapitalnych przyczyn.

Pierwsza — natury politycznej — to niepewność, która będzie trwała tak długo, jak długo „stosunki między Niemcami a innemi państwami europejskiemi nie będą ustabilizowane na podstawie opartej na wzajemnej sympatji współpracy i na wzajemnem zaufaniu“.

Drugą przyczynę widzą oni w przeciążeniu Niemiec wierzytelnościami zagranicznemi. Pomiędzy wierszami mowa tu — oczywiście tendencyjnie — o odszkodowaniach.

W wyniku prawda, choć nieco zawoalowana, widnieje dość wyraźnie: eksperci finansowi nie mogą wynaleźć żadnego środka oprócz paljatywów.

Im dokładniej czytamy raport bazylejski, tem bardziej widoczną staje się groźna treść.

Wspominając o roli momentów politycznych, eksperci przyznają sami, że przekraczają ścisłe granice swoich kompetencyj. Nie zatrzymując się zatem nad temi kwestjami powrócimy jeszcze do strony gospodarczej.

Raport bazylejski nie dotyczy tylko czasów kryzysu. W jego świetle bardzo smutno przedstawia się cała gospodarka Niemiec, zaczynając jeszcze od stabilizacji marki. Z poza jego suchych zdań przebija ponury obraz kraju o zwichniętej równowadze moralnej i gospodarczej, żyjącego z dnia na dzień, z długów, pod ciągłą grozą zepsucia się konjunktury kredytowej, co dla niego musiało oznaczać bankructwo.

Wielkie zaufanie do kredytu niemieckiego sprawiło, że po wojnie wszyscy zaczęli Niemcom pożyczać aż do tego stopnia, iż gospodarstwo niemieckie popadło w pewnego rodzaju nałóg, który teraz strasznie się zemścił.

To zaufanie kapitalistów mniejszych i większych musi się wydać dziwne. Zdaje się teraz niezrozumiałem, dlaczego nie przewidziano tego, co się może stać, kiedy oznaki, które zapowiadały rezultat końcowy, zaczęły się ukazywać wyraźnie już w latach 1927/28. Nie zapominajmy jednak, że wogóle nikt niczego nie przewidywał, a kto zdobył się na odwagę wypowiedzenia śmielszych poglądów, tego ogłaszano za warjata, czy to mówił o Anglji czy to o Niemczech.

O Anglji mówi się teraz dużo jako o państwie żyjącem z kapitałów. Niemcy były właściwie czemś podobnem, z tą różnicą, że zamiast żyć z kapitałów nagromadzonych, żyły z długów, zaciąganych na poczet kapitałów, których się dopiero spodziewano w przyszłości. Teraz się okazuje, że te nadzieje były bardzo zawodne.

Podobieństwo położenia dzisiejszych Niemiec do położenia Anglji jest naprawdę duże.

Bardzo wdzięcznem i pouczającem zadaniem byłoby zbadanie, w jakim kierunku rozwijały się po wojnie inwestycje niemieckie, jakie gałęzie przemysłu rozbudowywano. Potem krytyka tej polityki, biorąc jako kryterjum zapotrzebowanie rynków. Wreszcie nawiązanie jednego i drugiego do rozwoju ekspansji niemieckiej przed wojną. Wtedy, być może, okazałoby się, jak dalece organizm gospodarczy Niemiec został zwichnięty w swoim rozwoju, jak, w takiej formie pozostając, w jakiej żyje obecnie, pozbawiony jest podstaw swego istnienia.

Samo zbadanie zużytkowania wszystkich kredytów zagranicznych przez Niemcy jest już zadaniem kuszącem: ujęcie w cyfrach zjawiska przeinwestowania przemysłu. W ciągłem rozpaczliwem poszukiwaniu zbytu doszło do formalnego zboczenia. Pożyczano pieniądze, gdzie się dało, i budowano niesłychanie wyspecjalizowane fabryki, wyrabiające jakieś specjalne barwiki, albo szkła, albo przyrządy, a potem okazywało się, że nikt tego nie chce kupować.

I Anglja i Niemcy przedstawiają się nam w chwili obecnej w roli jakby wielkich bezrobotnych, gdyż i jedno i drugie państwo u t r a c i ł o p o d s t a w y s w e g o d o b r o b y t u i s w e j p o t ę g i.

Jeżeli się rozprawia nad pożyczkami międzynarodowemi dla nich, to, żeby uniknąć w przyszłości niespodzianek, nie trzeba zapominać, iż będą to właściwie wielkie zapomogi dla tych światowych bezrobotnych, od których, jak od wszystkich bezrobotnych i zdeklasowanych, wymagać się powinno przedewszystkiem zmiany trybu życia i wyrzeczenia się różnych dążeń i ambicyj, o których się marzyło w okresach powodzenia życiowego.

AD. B.

NAUKA I LITERATURA

MIASTO Z PRZYSZŁOŚCIĄ

Otrzymałem przed kilku dniami bardzo miłą książeczkę od autora, p. J. Opackiego[1]), nauczyciela gimnazjalnego w Czortkowie. Z Czortkowem łączą mnie dwa lata pracy na pierwszej mojej posadzie w tamtejszem gimnazjum im. Słowackiego. Autor był wtedy moim uczniem i należał do drużyny harcerskiej, którą prowadziłem. Nic tedy dziwnego, że zainteresowała mnie przysłana praca bardzo. A że w trakcie czytania książki, jak też po jej przeczytaniu, nasunęło mi się kilka myśli, wychodzących poza literaturę przewodnikową, więc chciałbym się niemi podzielić z czytelnikami „Myśli Narodowej".

Najpierw kilka słów o samym przewodniku. Jest on ze wszech miar dobry, a nawet bardzo dobry. Opisy są traktowane historycznie, zwłaszcza jeśli mowa o najważniejszych zabytkach miejscowych. Ten sposób potraktowania przedmiotu czyni z przewodnika pewnego rodzaju monografję regjonalną, nawiązuje do tradycji i spełnia zadanie wychowawcze. A jest to wogóle pierwsza monografja czortkowszczyzny i jako taka posiada duże znaczenie. Przewodnik ma jeszcze jedną zaletę. Jest mianowicie żywy, dynamiczny. Autor zna objekty, jakie opisuje, nie z literatury, która jest bardzo skromna, ale z życia. Złożyły się nań wycieczki zarówno harcerskie, jak też specjalnie krajoznawcze oraz te, które autor przeprowadzał jako nauczyciel. Szereg tradycyjnych przekazów-legend wychodzi stanowczo poza charakter przewodnika. Poza ten charakter wychodzi także wyzierające z każdej karty uczucie, jakkolwiek regjonalne, to jednak głęboko patrjotyczne, przywiązania do opisywanego zakątka. Może tam ktoś przy sposobności recenzji wytknąłby autorowi kilka usterek jego pracy. Znikną one napewno w drugiem, powiększonem wydaniu. Nie zmieniają one jednak tego, że przewodnik jest pierwszorzędną pracą, o znaczeniu dla czortkowszczyzny wprost epokowem.

Z przewodnika dowiadujemy się także, co prawda tylko mimochodem, że Czortków w krótkim czasie polskiego dziesięciolecia wspaniale się rozwinął. Przybyło szereg budynków, jak magistrat, bursa polska, Kasa chorych, cała nowa dzielnica will i domostw oraz szereg instytucyj. Między innemi uderza powstanie trzech prywatnych szkół zawodowych. Jest to dalszy ciąg wielkiego rozwoju Czortkowa, spowodowanego przedewszystkiem powstaniem tam ważnego węzła kolejowego jeszcze na kilkanaście lat przed wojną, oraz przedwojenną falą dobrej konjunktury. Pozatem Czortków miał szczęście w czasie wojny. Nie został on w zupełności zniszczony, podczas gdy prawie wszystkie miasteczka podolskie zostały obrócone w perzynę. Niektóre z nich, jak np. taki Husiatyn, prawdopodobnie się nie podniosą z upadku.

Wszystkie powyżej wyłuszczone przyczyny sprawiają, że miasto nasze wchodzi w przyszłość z bardzo poważnemi zasobami. Leżąc zaś w kącie pomiędzy Rosją a Rumunją, leży także na dobrem miejscu. Przecie z chwilą ustania wyjątkowych stosunków granicznych pomiędzy trzema państwami zacznie ono odgrywać bardzą poważną rolę. Najprawdopodobniej weźmie on w spadku znaczenie starego Kamieńca Podolskiego, który był nie tylko sławną twierdzą, ale też poważnem i ruchliwem centrum handlowem.

W tym związku chcę podkreślić jeden fakt znamienny i budzący optymizm. Oto Czortków ma napewno dziś największą ilość polskich placówek handlowych i przemysłowych ze wszystkich miast podolskich. Możemy to stwierdzić w samym przewodniku. Na końcu jego jest kilkanaście stronic ogłoszeń rozmaitych firm i przedsiębiorstw. Widnieje tam dziewiętnaście firm polskich, co jak na małopolskie stosunki jest bardzo wiele.

Z przytoczonych wyżej względów miasto to odegrać może bardzo poważną rolę kulturalno-polityczną na kresach podolskich w konsolidacji żywiołu polskiego.

KAROL STOJANOWSKI

[1]) J. Opacki. Przewodnik po Czortkowie i okolicy. Czortków 1931, str. 69, 16-tki, nakładem Oddziału Podolskiego T-wa Turystyczno-Krajoznawczego w Czortkowie.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

Zmarł w Monachjum w 87 roku życia znany dobrze ekonomistom długoletni profesor nauk socjalnych i ekonomicznych Lujo Brentano. Pochodził z rodziny katolickiej, w nauce reprezentował kierunek liberalny. Zaczął wykłady w r. 1872 we Wrocławiu, potem uczył w Strasburgu, Wiedniu, Lipsku i Monachjum. Emeryt od r. 1914.

Zrazu, wraz ze Schmollerem i Bücherem, badania swoje prowadził metodą historyczną, ale wkrótce przeszedł na drogę badań socjalnych, nie ustępując z programu liberalnego; podczas gdy Schmoller tworzył socjalizm katedralny, Brentano widział przyszłość w rozwoju związków zawodowych na wzór Anglji. Dzieło jego o *trade-union*'ach należy do klasycznych. Wyznawał oczywiście zasady wolnego handlu poświęcał też wiele pracy polityce agrarnej. W r. 1899 wyda, swoją „*Agrarpolik*".

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

W ostatnim zeszycie (wrzesień 1931) wychodzącego we Lwowie miesięcznika „*Literaturno-Naukowyj Wistnik*" znajdujemy artykuł „*Roman Dmows'kij — neofit ewrazijstwa*" (R. Dmowski — neofita eurazyjskości), napisany przez D. D (zapewne D. Doncowa, red.). Na 12 stronach walczy z tezą Dmowskiego o „bezperspektywności" dążeń ukraińskich. Nie znajdujemy tam jednak nic takiego, czegoby nie napisali Dmowskiemu nasi polscy politycy, dla których Polska jest tylko środkiem do szczytnej misji emancypowania ludów na wschodzie.

*

W „Kurjerze Lwowskim" (z 14 września) ukazała obszerna i bardzo pochlebna recenzja o „Warszawie" Stefana Godlewskiego, wydanej przez Tow. wyd. „Patria". Autorem recenzji jest prof. Uniw. lwowskiego dr. Władysław Tarnawski. Artykuł zaczyna się słowami:

„Nasza skarłowaciała w ostatnich czasach beletrystyka wydała niewiele utworów równie oryginalnych i wartościowych pod względem artystycznym jest to cacko w kilku stylach p. Godlewskiego".

*

Księgarnia św. Wojciecha w Poznaniu przystąpiła do wydawnictwa, zawierającego wybór najlepszych mów kościelnych i kazań klasyków kaznodziejstwa. Na pierwszy ogień poszedł tu Bossuet. Chociaż go kaznodzieje znają naogół, brak było cyklu jego kazań. Dotkliwą lukę spostrzegł i zapełnił najlepszy bossuecista w Polsce ś. p. prof. M. M. Paciorkiewicz.Opracował znakomicie życie Bossueta na tle epoki, i przetłumaczył najcelniejsze kazania wielkiego pisarza i mówcy, a tem samem zasłużył się niemało nietylko dla naszych kapłanów, posiłkujących się nieraz zwrotami mistrzów kaznodziejstwa, ale również dla miłośników literatury francuskiej.

Tytuł książki prof. Paciorkiewicza: „Wybór pism kaznodziejskich Bossueta. (Skarbiec mistrzów kaznodziejstwa)".

Dalsze tomy „Skarbca" mają przynieść przekłady kazań niemieckich, angielskich, włoskich oraz wybór polskich, przez co wytworzy się z czasem cenna bibljoteka, bogata myślą, piękna formą, z której czerpać będą zarówno duchowni, jak świeccy.

*

W krótkim przeciągu czasu po napisaniu powieści o Słowackim p. Juljan Wołoszynowski wydał książkę pt. „Rok 1863". Jest to także powieść. Kalejdoskopowo przedstawił w niej to, co się działo w tym nieszczęsnym roku w lasach i na polach Kongresówki, Litwy i Rusi, w domach szlacheckich, w Warszawie, nawet w Paryżu. Na tle barwnych obrazów, szybko, jak w filmie zmienianych, snuje się wątek przygód kilkunastu postaci. Poza tem: Rząd Narodowy, wodzowie, powstańcy, wojsko rosyjskie, lud wiejski, panie, panowie. Obrazy życia ludzkiego, w tym wypadku układającego się w kształt czynu zbiorowego, oprawione są w ramy opisów przyrody, ramy tak bogate, że wytwarza się stała równoległość tych dwu światów, przyczem oba robią wrażenie bytów równie nieświadomych. Zanika w tej opowieści motyw celowości ruchu. Zarówno w tłumach, jak i w wodzach hamletowski bezwład i niezmierna pogarda celowości, jakby chodziło nie o zwycięstwo, lecz o cierpienie.

Autor może chciał tak właśnie ten epizod historyczny przedstawić, niemniej jako pierwsze zadanie artystyczne dla siebie wysunął — wywołanie dla ofiar współczucia. Pomimo że — jak w filmie — tylko pokazuje bez komentarzy, to jednak obrazy tchną sentymentalizmem, kokieterją cierpienia, co nadaje całości charakter romantyczny, ale też nie-męski. Zasadnicza cecha poezji powstańczej, do której i ten utwór należy, tkwi w pogardzie dla rozumowych kryterjów czynu. Ta cecha charakteryzuje generację ludzi następnego „powstania" 1905 r. Ustaliła się nawet w działaniu pokojowem z przydatkiem motywów romantycznych bandyckich. Autor w gusta tej epoki mierzył, pisząc tę powieść.

Kategorja poezji, ale nie poezja, której chodzi o prawdę wewnętrzną. Zestawmy ten utwór epiczny z „Panem Tadeuszem". Jako wytwór literacki „Rok 1863" należy niewątpliwie do ozdobniejszych, świadczących o wybitnym talencie pisarskim autora. Nader efektowne szaty, nadane przez Wydawnictwo Polskie (R. Wegnera) w Poznaniu, podnoszą wartość dzieła.

ZE ŚWIATA SZTUKI

RÓWNOCZEŚNIE ze Szczepem „Rogate Serce" wystawili swe prace w Zachęcie, pani Hanna Nałkowska-Bickowa, japoński artysta Senrin Kirigaya i Bronisław Bartel z Poznania.

Senrin Kirigaya (zacznijmy od gościa) jest artystą wiernym tradycji. Nie wdając się w rozpatrywanie kwestji, czy stanowisko takie należy uważać za słuszne, lub nie, dla malarza współcześnie żyjącego, trzeba stwierdzić trudności obranej drogi, wobec rezultatów jakie na niej osiągnęli poprzednicy. Mimo olbrzymiej popularności sztuki japońskiej w Europie, pozostanie ona dla nas nazawsze czemś egzotycznem, co bynajmniej nie ułatwia nam oceny jej walorów czysto plastycznych. Wobec utworów p. Kirigaya czujemy się tembardziej bezradni, iż część ich ma za temat sceny religijne, lub postacie świętych buddyjskich, albo też podania i legendy, jakie każda religje wytwarza. Religja zaś posługuje się własnemi symbolami, których mowa tajemna trafia jedynie do serc wyznawców. Dlatego też tych utworów artysty, gdzie treść plastyczna jest uwarunkowana nietylko względami estetycznemi, ale i obrzędowemi, nie jesteśmy w stanie ocenić w pełni. Bliższe nam są skromne motywy pejzażowe lub studja kwiatów. Zwraca tu przedewszystkiem naszą uwegę strona zewnętrzna, techniczna. Jak on to zrobił? — nieraz zadajemy sobie take pytanie. Być może to nawet jest łatwe do zrobienia, tylko sęk w tem, żeby znać sekret.

P. Kirigaya wykonał kilka prac już podczas swego pobytu w Polsce, i widać, iż obcy pejzaż go zaskoczył tak dalece, że właśnie technika uległa zasadniczej zmianie. Nie zżyty z obcem mu światem, nie opowiada już o nim artysta z taką swadą i pewnością. Wszystko jest tu rozbite na drobne, nieśmiałe plamki, wspomagające się wzajemnie w wyrażaniu kształtu, żadna z nich nie chce wziąć odpowiedzialności na siebie. Ale ciekawsze, niż rezultaty, jest samo doświadczenie. I dobrze by było, aby wielbiciele sztuki „nieznanego pochodzenia" chociaż przez chwilę o tem pomyśleli.

Obrazy p. Kirigaya są malowane przeważnie na jedwabiu.

*

Pan Hanna Nałkowska-Bickowa, rzeźbiarka, prezentuje nam prace o poziomie dosyć różnorodnym. Najmniej ciekawe wydają mi się akty, sama autorka uprzedza nas, by nie traktować ich jak dzieła dojrzałe, przez dodanie do tytułu pracy słówka: „szkic". Ale jakoś mi się to nie widzi. Szkic w rzeźbie wyobrażam sobie jako projekt — notatkę pomysłu, a nie formy. Bardziej zwarte i dociągnięte są „głowy" artystki. P. Nałkowska orjentuje się w wartościach upraszczania i syntezy, lecz czasem wybiera prostotę zanadto pierwszą lepszą z brzegu. Rzeźby jej są podobne do argumentu niedokończego; jeszcze kilka właściwych słów, a zdołałaby przekonać widza.

Głowa w bronzie, własność Zbiorów Państwowych, najwięcej posiada wyrazu.

*

Oglądając wystawę zbiorową Bronisława Bartla, przypomniałem sobie, iż jeszcze przed wojną, w starych rocznikach „Świata", widziałem reprodukcje jego prac już jako zupełnie dojrzałego artysty. Wśród rozwieszonych obrazów zobaczyłem i portret syna, młodzieńca pod wąsem, co mnie utwierdziło w przekonaniu, iż się nie mylę i mam przed sobą dzieła człowieka już starszego, posiadającego zapewne spory dorobek artystyczny. Istotnie najlepsze wśród portretów świadczą o opracowaniu rzemiosła i zdobytej przez praktykę wiedzy, wyzyskanej w sposób spokojny i rzeczowy. Są one prawdopodobnie wyrazem przekonań artystycznych malarza i o szczerości ich niema najmniejszego powodu wątpić. Z racji tak pojmowanej sztuki, nie wiążąc Bartla z jakąkolwiek „szkołą", możnaby go zaliczyć do impresjonistów (typ polski impresjonizmu) z pewną skłonnością do dekoracyjności. Lecz przy dalszem zwiedzeniu wystawy, spostrzegamy, iż artysta nie zadowolił się utrzymaniem raz zdobytej pozycji, a zapragnął także i laurów „modernisty". Szeregiem autolitografij stara się nam udowodnić, jak pojmuje współczesność. Niebardzo jednak w nią wierzymy. Bo współczesność to nie naiwne przekrzywanie domów, przedtem rysowanych prosto, ani gromadzenie rekwizytów techniki (samolot, auto, radjo i t. d.). Gdyby tak było, nic łatwiejszego, jak zostać znakomitym artystą współczesnym. Być może Bartel poszedł na takie próby, obawiając się, iż staje się zbyt staroświecki. Ja przyznam się, wolę tego prawdziwego p. Bartla, to znaczy starszego.

Daleko istotniejsze są zadania kolorystyczne, przeprowadzone w szeregu prac, z których najudatniejszą wydaje mi się obraz zatytułowany: „Demon", swą ciężką barwą przypominający Pronaszkę.

Obrazy o założeniach dekoracyjnych wykazują wpływ Roguskiego. W. P.

NA MARGINESIE

W Polsce są dwa obozy: OWP i OWU, przyczem pierwszy traktowany jest jako wróg państwa. Należałoby to nieporozumienie jakoś wyjaśnić, a zacznijmy od wyjaśnienia, że tym drugim obozem jest Obóz Wielkiej Ukrainy.

*

Targi Wschodnie. P. Dunin-Borkowski, kiedy był wojewodą lwowskim, dążył usilnie do oddania steru polskiej opinji narodowej w Małopolsce Wsch. p. Mejbaumowi. Zdawało mu się, że to jakiś ładny symbol sanacyjnego Maja i baj baja, jakaś przeciętność Polaka z mniejszości narodowych. A teraz zmajdaczone „Słowo Polskie" już z wojewodą polemizuje. P. Majbaum chciałby cały kraj przerobić na swoje podobieństwo, stworzyć nowę narodowość, jak się wyraża hr Borkowski — „wasserpolską". P. Majbaum dostał manji wielkości i podaje się już za jedynego interpretatora niejasnych idej ś. p. Hołówki, tak jak dawniej podawał się za jedynego Wszechpolaka. Panie hrabio, Mejbaumy szybciej jadą, niż Duniny.

*

Przytoczony przez nas przed paru tygodniami biuletyn Instytutu badania konjunktur gospodarczych wywołał niezadowolenie, ponieważ wskazywał zbyt niską temperaturę „zaufania". Dymisjonowany za to redaktor biuletynu padł ofiarą zabobonu, że na złą temperaturę najlepszym środkiem jest potłuczenie termometru.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.